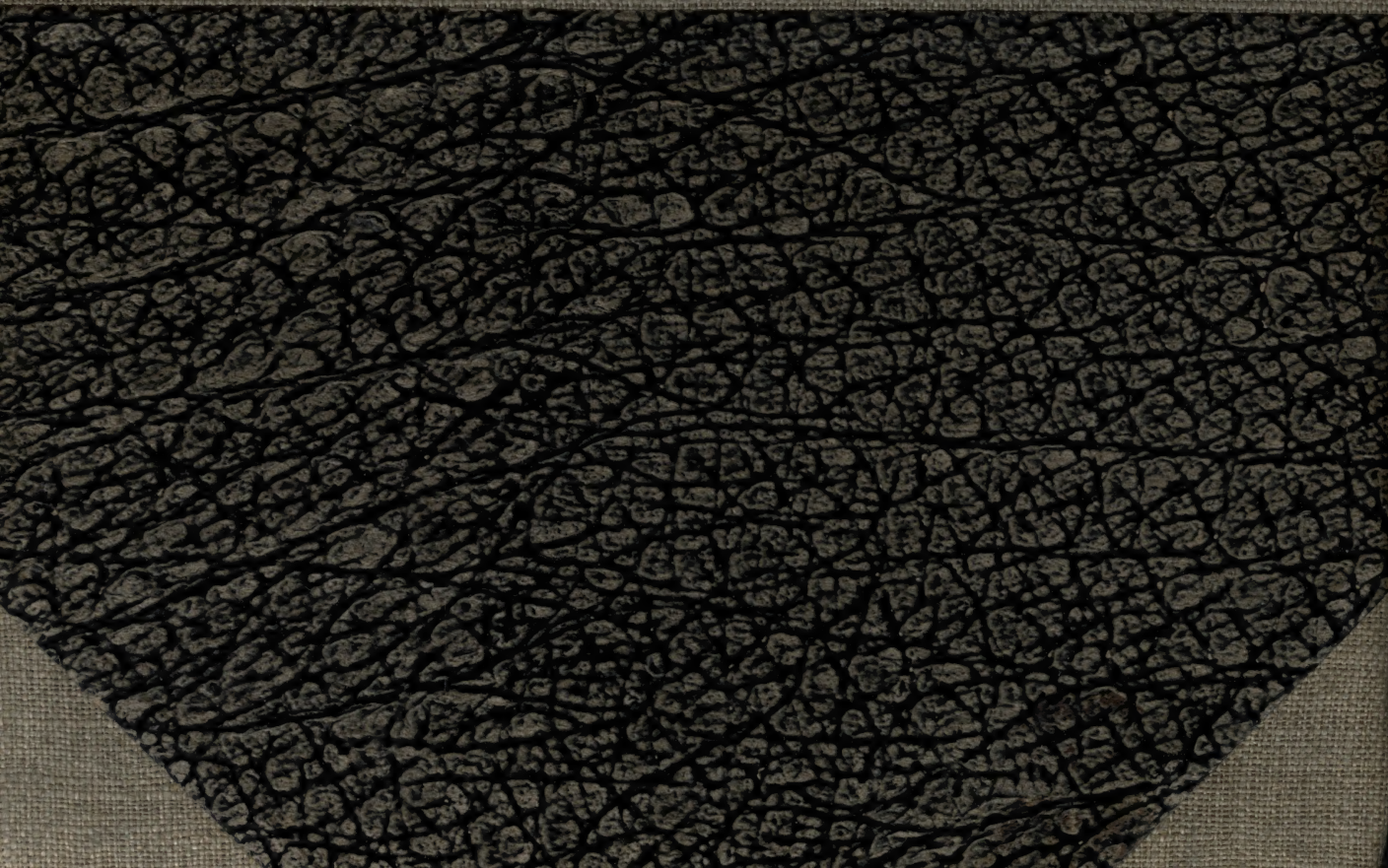

Purchased for the

LIBRARY *of the*

UNIVERSITY OF TORONTO

from the

KATHLEEN MADILL BEQUEST

Z KSIĘGOZBIOR
B. MANDAT
№ 3.

4 vol. - 7

399/668

POEZJE

I.

ODBITO W DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE

JERZY ŻUŁAWSKI

POEZJE

TOM I.

SONETY

Z księgozbioru
Bol. Mandata

Z KSIĘGOZBIORU
B. MANDATA
№ 3.

WYDANO W ROKU MCMVIII, NAKŁAD KSIĘGARNI
H. ALTENBERGA WE LWOWIE — W WARSZAWIE
E. WENDE I SPÓŁKA (T. HIŻ i A. TURKUŁ)

PG
7158
Z8 A17
1908
t. 1

LIST DO WYDAWCY.

(Zamiast przedmowy).

Kochany Panie Alfredzie,

oto więc staje się według Pańskiego życzenia. Zbiorowe wydanie poezyj przygotowałem i posyłam Panu rękopis do druku. Wahałem się, gdy Pan przed paru miesiącami zwrócił się do mnie z tą propozycją — (ja sam myślałem na razie tylko o wydaniu niektórych już wyczerpanych tomików), ale ostatecznie — może Pan ma słuszność. Ta działalność moja pisarska, której wyrazem są właśnie oddane Panu dziś do ponownego wydania poezje, jest dla mnie już czemś tak zamkniętem i — mimo niewielki przedział czasu — odległem, że wątpię, abym do tych ksiąg miał kiedykolwiek jeszcze coś do dorzucenia... Może więc rzeczywiście nie jest przedwczesne to »zbiorowe wydanie«.

Kłopot natomiast miałem wielki z wyborem i układem treści. Dzisiaj — po czternastu latach, tak inaczej na wiele rzeczy patrzę, niż wówczas, gdym jako dwudziestoletni chłopak pierwszy tom swych poezyj do druku przygotowywał, że trudno mi sądzić i oceniać te wiersze z dzisiejszego swego stanowiska i wedle dzisiejszych wymagań swoich. Usunąłem więc z pierwszych wydań tylko to, co

mi się wydało stanowczo i nieuleczalnie lichem, a resztę pozostawiam wszystko tak, jak było... Nadto dodałem wiele rzeczy, dawniej pisanych, których — nie wiem nawet sam, dlaczego — do wydawanych wówczas tomów nie włączyłem, chociaż ciekawsze są może od tego, co właśnie ogłaszałem.

Co do układu treści, to najprostszy byłby porządek chronologiczny. Odstąpiłem jednak od niego dla wielu względów, których tutaj już wymieniać nie będę. Zdaje mi się, że tak jest lepiej. Kogoby zaś przypadkiem zajmował czas powstania utworów w tych książkach zawartych, znajdzie daty przy każdym z osobna podane.

Kończę: można drukować.

Przy sposobności piękne pozdrowienia Panu przesyłam.

J. Ż.

W Rzymie, w lutym 1908.

— jestem —
panteista trochę i romantyk.

Słowacki.

ERRATA:

Str.	128	wiersz	3	zamiast:	*wznosi*	ma być:	wznowi
Str.	201	wiersz	4	zamiast:	*niknąca*	ma być:	niknącą
Str.	255	wiersz	10	zamiast:	*aż*	ma być:	że
Str.	257	wiersz	1	zamiast:	*pysznią*	ma być:	pysznie
Str.	262	wiersz	3	zamiast:	*pada*	ma być:	wpada

SONETÓW MŁODYCH

CZĘŚĆ PIERWSZA.

1892—1895.

LEĆCIE PIEŚNI!

Wrażenia budzą czucie drzemiące w uśpieniu;
czucia w piersi zadrgawszy myśl wnet lotną wskrzeszą,
a w myśli zrazu mglistej tęcze się rozwieszą,
błyszczą, świecą i wylać chcą się na świat w pieniu.

Do mnie, słowa! Pójdź, dźwięczna ty skrzydlata rzeszo,
zwiń się wieńcem nad myślą, posłuszna jej tchnieniu,
skąp się w niej, jak gołębie kąpią się w promieniu,
nim rozlśnione do gajów zielonych pospieszą! —

Lećcie, pieśni! — o, lećcie teraz między braci!
Lećcie, lećcie mej duszy posłańcy skrzydlaci,
dźwiękiem bodaj echowym mówcie, co się śniło

w chwilach, kiedy wrażenia pierwszą drgnęły siłą!
W długiej drodze do pieśni czucia pół się traci;
lećcież bodaj z połową, mówiąc: więcej było! —

W ŚWIAT MARZEŃ!

Ponad ciemne i martwe tej ziemi obszary,
w niebo pieśni, w świat marzeń i boskiej ułudy,
w światło, w przestrzeń, w poezji tęczą barwne cudy,
w piękność wieczną, pić szczęście z pełnej życia czary!

Jakże często drga w sercu przyspieszone bicie,
jakże często łzą wilgnie bezsenna powieka
i w te światy nadziemskie dusza mi ucieka —
i myśl się rwie do góry, by tonąć w błękicie!

Młode orlę do słońca by chciało — w obłoki!
Nie tu w dole mu pełzać, chociaż tu zrodzone;
jemu domem gwiazd szlaki i przestwór szeroki;

burze, gromy — to żywioł, co mu ducha stali!
Czuje siłę, choć młode, choć dotąd więzione, —
ale skrzydła wyrosną i myśl się skrysztali...
a wtedy...?

POWÓDŹ WIOSENNA.

Szum mię zbudził nad ranem. Trąc powieki senne,
wyskoczyłem ku oknu. Czy to światy toną?
Gdzie się wczoraj wił potok strugą posrebrzoną,
dziś się morze wydyma zagładą brzemienne!

Rozkiełzały ze śniegów wodę tchy wiosenne;
żółtą falą, szumiącą, z wściekłości spienioną,
strumień ryje i targa brzegów darń zieloną,
łamie drzewa i tamy druzgoce kamienne.

Pędzi fala i ryczy: Nic mnie nie powstrzyma!
jam dziś wolna i dumna jak górala tchnienie!
Z drogi ludzie i skały! szał mi łono wzdyma!

Tońcie lody! Nim padnę w morza zapomnienie,
grozą światu obwieszczam, że skonała zima, —
za mną wiosna nadchodzi! — kwiaty i promienie!

PRZED BURZĄ.

Szare niebo z ołowiu, ciężkie i złowieszcze
całą ziemię przygniotło. Pobladła, zlękniona,
w martwej ciszy zastygła, z blasków okradziona
ziemia czuła, że straszne spadną wkrótce deszcze.

Z wichru świstem wstrząsnęły światem trwogi dreszcze,
płacząc liściem już gnie się rzesza drzew zielona;
strach padł w ptaki, zwierzęta i w człowiecze łona:
uciekają, przed burzą skryć się pragnąc jeszcze.

Jeden tylko człek został. Dumny, nieugięty,
oczekując z rozkoszą błyskawic i burzy,
szeptał z cicha do siebie: Zmartwiał świat przeklęty!

Przybądź, burzo, bo spokój dławi mnie i nuży!
wygryź gromem z powietrza starej pleśni męty;
błyskawicom i grzmotom moja myśl zawtórzy!

CZEGO CHCĘ...

Bądź mi pociech aniołem, gdy mi źle na świecie:
bądź mi strugą jasności, gdy mi życie ciemne;
rozwiąż sercem jestestwa zagadki tajemne,
których klucz ma jedynie kobieta i dziecię!

A gdy czynu godzina i boju uderzy,
bądź mi walkyrją, która, pojąc siły mleczem,
bohatyrów przez trupy płomienistym mieczem
do zwycięstwa prowadzi i w zwycięstwo wierzy!

W świętej walce za nowej przyszłości zaranie
jeden bodaj raz w życiu chciałbym podnieść bronie,
twoim duchem wiedziony na bojowym łanie!

Gdybym poległ, to z wiarą, że na tamtej stronie,
w bohatyrów walhali duch mój znowu wstanie,
a ty dębem zwycięskie uwieńczysz mu skronie!

NIE MNIE KOCHAJ...

Nie mnie kochaj, dziewczyno, lecz myśl kochaj we mnie,
co, choć młoda, do czynu rwie się i do lotu,
łaknie burzy i wichru, piorunów i grzmotu,
i chciałaby rozświetlić prawdą życia ciemnie!

Kiedy włos mi zbieleje i skroń się pochyli,
zadrży ręka, co dzikie dziś kiełza rumaki,
butna młodość ucieknie, jak przelotne ptaki:
droga! — zaliż twa miłość skonać ma w tej chwili?

Myśli moje ty kochaj! Nie zgryzie ich burza!
Chociaż starcem już będę, to myśl moja dzielna
stanie twojej miłości za Anioła stróża!

Myśl ma śmierci śmie nawet urągać — bezczelna!
Choć u grobu już mego uklękniesz podnóża,
miłość twoja żyć będzie, jak myśl nieśmiertelna!

NATCHNIENIE.

Natchnienie nie jest orłem, który z niebios spada;
nie piorunem, co z góry świetli noce ciemne;
ono w piersi się rodzi, jak ognie podziemne —
stamtąd błyska i stamtąd myślą, piórem włada!

Ono nie jak Jehowa do proroków gada,
nie ma głosów rodzących obłędy tajemne,
jemu nie są kapłany, jak sługi najemne,
które czynią bezwiednie, co ich pan im nada!

Świadomości nie gubi, lecz ją owszem rodzi,
świadomością rozdyma pełną pierś człowieka
i z tej piersi ojcowskiej tęczę pień wywodzi,

lub się w dźwięki, lub barwy czarowne obleka!
Natchnienie — to głos ducha w myślowej powodzi,
który mówi: Ja jestem! — i działać przyrzeka!

MYŚL.

1.

Myśli! moja kochanko! — o, myśli skrzydlata!
wierna — nigdy bratniego nie opuszczasz ducha!
czemuż jednak nie zawsze twój orszak cię słucha:
język, ręka i pióro? Czyż ty nie dla świata?

By cię ludzie dostrzegli, czemuż słów ci szata
potrzebna, która, kiedy twój płomień wybucha,
pęka w tysiąc odłamów, jak skorupa krucha,
jak pod dłonią olbrzyma ciasnych więzień krata?

Czasem dajesz się okuć i wyglądasz blada
z czarnych wierszy i smutna, lecz w chwilach potęgi
krzepnie przed twem obliczem ust bezdźwięcznych
swada;

darmo ręka się stara blask twój zakląć w księgi:
rytm się plącze, słów braknie i rym się nie składa,
a ty lecisz nieścigła w jasne niebokręgi!...

II.

Cóż mi, myśli, po twoich gwiazdach i płomieniach,
gdy ich rzucić nie mogę zwierciadłem na braci?
kiedy blask twój nikogo w świecie nie bogaci,
a zagasłszy — jedynie żyje w mych wspomnieniach?

Wszakże życie nie wieczne — a gdy w grobu cieniach
legnę, razem i twoje skrzydło moc utraci
samolubną — a z żadnych oczu potem łza ci
nie da hołdu, ni w przyszłych wstaniesz pokoleniach!

Myśli! raczej daj słowom jasne skrzydeł tęcze,
żeby mogły ci sprostać, doścignąć w twem niebie
i ogarnąć, jak siatki motyla pajęcze,

i zatrzymać na ziemi po moim pogrzebie!
— Że mi braknie słów takich, rozpaczą się dręczę,
bo przeklęty, kto żyje jedynie dla siebie!

NA SZCZYCIE.

Śnieg dziewiczy pod stopą bielił głaz bezkwietny,
a nademną był błękit, a obłok podemną;
tak świat się cały okrył zasłoną tajemną
i był groźny i pusty — choć blaskami świetny.

Zazdrościłem głazowi, że był sam i — czysty;
chociaż słońce pił ciągle — sam był ciągle chłodny,
choć poglądał na burze — był ciągle pogodny,
i nie znał krzyków innych nad wichrów poświsty.

Mnie nie wolno dla siebie tylko żyć na świecie,
chłonąć słońce i burzom przyglądać się zdala;
blaski muszę oddawać, gromom echem wtórzyć,

w sercu mojem wyrasta wraz z chwastami kwiecie,
z piersi tryska to czysta, to znów mętna fala —
i ludzi szukać muszę, ludziom krwią swą służyć!

POETA.

Wyobraźnia poety jestto pryzmat szklisty,
w którym promień białego światła się rumieni
błękitnieje i złoci, krwawi się, zieleni —
i wybiega już tęczą — lśniący i barwisty!

Myśl poety — to ogień tajemny, gwiaździsty,
czarodziejski i w którym moc się dziwna pleni:
rzuć weń rudy kawałek, a wnet się zamieni
w metal złoty i drogi, albo w brylant czysty!

Takiem szkłem uzbrojony i takim płomieniem
pałający poeta widzi jako djament
albo tęczę, co mrokiem może lub kamieniem...

O! dziękujcież mu, ludzie, za ten temperament!
on wam życie upiększa anielskiem widzeniem,
choć sam cierpi, poznając ułudę i zamęt — —

NUREK.

Jak nurek w mórz odmęty, tak się człowiek rzuca
w wiry życia, w szał walki. W mrocznych toniach
płynie,
szuka skarbów na oślep, czasem blizkie minie,
czasem dłużej nie dadzą słabe szukać płuca.

Poszukiwań jednakże gdy słabość nie skróca,
w chwili, kiedy na brzegu sądzono, że ginie,
on wypływa i zdobycz wydartą głębinie
przed oczyma zdziwionych na piasku rozrzuca.

O! szczęśliwy, gdy muszle wybrał perłodajne!
zbogacony i braci przystroi swym darem.
Jeśli jednak miast pereł wziął małże zwyczajne

i z plugawym z przepaści wypłynął ciężarem,
stokroć lepiej mu było zatonąć w otchłani!
— Bracia-nurki! my światu co przyniesiem w dani?

NIE PYTAJ...

Ty nie pytaj się, czyli sił do pracy starczy?
Wszak się słowik nie pyta, zali pieśń do końca
wyśpiewa, ani orła, niebieskiego gońca,
wstrzyma wicher lub piorun, który w dole warczy!

Komu ducha Bóg świętym płomieniem obarczy
niechaj walczy bez troski pod sztandarem słońca,
a gdy padnie, prawdziwy przyszłości obrońca,
niech z boju — jak Spartanin — powraca na tarczy!

O zaiste! wszak więcej trupia głowa warta,
która padnie wśród boju piorunem rozdarta,
niźli czerep złożony w atłasów pościeli —

bo ta daje świadectwo prawdzie i świętości,
niema — woła, aż duchy wstąpią w stłałe kości
i znów ruszą na słońce, jako huf anieli! —

NIE SCHYLAJ GŁOWY!...

Nie schylaj głowy, choć cię ból przygnębi,
chociaż wspomnienia w twojem sercu płaczą,
choć dusza wzbiera i jęczy rozpaczą,
chociaż zwątpienie i ból cię przygnębi!

Nie schylaj głowy! Gdy ludzie obaczą
twój płacz, przylecą, jak stado jastrzębi,
i łzy twe zmącą, skalają do głębi
święte pamiątki — gdy tylko obaczą...!

Nie schylaj głowy! Pokryj maską śmiechu
bezmyślnie - słodką, codzienną, swe lica
i każ zastygnąć łzom pod maską śmiechu!

Nie schylaj głowy! Przy ludziach tęsknica
niechaj ci nigdy nie tłumi oddechu,
bo na śmiech tylko ludziom jest tęsknica...

W CO WIERZYĆ?

1.

Nie wierz nigdy, o! nie wierz, choćby ci mówiono,
że miłość, szczęście, wiara — to są dźwięki marne;
nie wierz, że życie smutne tylko jest i czarne,
że cierpieniem jedynie tchnie człowiecze łono!

Nie wierz, że w zgliszczach gasną płomienie ofiarne
a na ołtarz wystygły dżdże z wichrami wioną,
że uprosić nie można nic dłonią wzniesioną,
że zło światu króluje — ślepe i bezkarne!

Nie wierz, choćby sto razyć mówili bluźnierce,
nie wierz, choćby twe własne tak mówiło serce,
choćby gorycz łez z oczu płynących mówiła,

choćby pierś twa spalona strasznym ducha głodem
a starganą rozpaczą, przebita zawodem... —
ty nie wierz! — choćby nawet to i prawda była...

II.

Ale zawsze wierz za to, że łzy nie są próżne,
że nie ginie nic z cierpień ani pracy ducha,
bo Bóg znoje policzy i krzyku wysłucha —
a serce Jego nagród nie zostanie dłużne...

Wierz, że chociaż grom błyska, huczy zawierucha,
to my lecim wciąż naprzód, żórawie podróżne!
a w kraj słońca lecące — i przez morza różne
bożym duchem wiedzione. Wierz w to, a otucha

niechaj nigdy ci z serca nie wyjdzie ni z duszy;
niechaj losu przeciwność tej wiary nie zgłuszy,
w której jedno jest szczęście i jedyna siła —

wiary, że po cierpieniach i po trudach wielu
dojść musimy nareszcie do świętego celu! —
W to uwierz — choćby nawet to nieprawda była!

PRZEKLEŃSTWO.

Kto w młodej, czystej piersi ogień gasi boży,
kto przed oczy rozśmiane takie rzuca cienie,
że od nich ziemia blednie i niebios sklepienie
kirem chmur się zaciąga, jakby nigdy zorzy

na niem jasnej nie było; kto przedwcześnie trwoży
młode dusze bluźnierstwem, mówiąc, że cierpienie
wszystkiem w życiu, a złudą o szczęściu marzenie;
kto powiada, że człowiek pada, a nie tworzy

nic, ani idzie kiedy drogą wniebowstępną;
kto jad sączy do czary uniesień i wierzeń
i pielgrzymowi otchłań wskazuje posępną;

kto źrenice otwiera do czarnych spostrzeżeń
w chwili, kiedy duch orli lot poczyna święty:
niechaj będzie na wiarę swą skazan — przeklęty!

IŚĆ MUSZĘ...

Droga ziemio ojczysta! ukochany kraju!
góry moje rodzinne! — ja wśród was zrodzony,
czemuż muszę porzucać złotych marzeń strony,
czemuż ptakiem przelotnym ciągnąć do wyraju?

W cudze kraje mi lecieć między obce ludy,
drogich sercu opuścić na długo, na długo,
płynąć trzeba pod wodę bystrą losów strugą,
walczyć z życiem i gonić marne szczęścia złudy!

Serce pragnie tu zostać pośród własnej braci —,
gnane w światy przemocą oprzeć się nie zdoła,
rozłączenie jednakże krwawą łzą opłaci...

I dlaczego? dlaczego? Cóż mnie w świat ten woła,
co faluje i huczy i szumi, jak morze?...
Idę z lękiem, bo nie wiem, po noc czy po zorzę?
Lecz iść muszę...

STARZEC.

— Starcze! smutek ci z czoła patrzy jakiś blady,
rozczarowanie w zmarszczki poryło ci lice —
powiedz! czyś znał za młodu miłości krynicę?
czyś wypalał myślami w niebie jasne ślady?

»Tak! — błędnego rycerza nosiłem przyłbicę! —
Dziś jednak wiem, że miłość w trucizn gorzknie jady,
myśli w niebo wysłanych w drodze mrą myrjady,
a pamiątką żywota są — pełne łzawnice!«

— I mów! czyli ci nie żal, że miast użyć świata,
zawiedzionych snów w serce sączyłeś gorycze?
»Nie bluźnij! Choćby młode wrócił mi kto lata,

drogi mojej ni... bólów odmieniać nie życzę,
bo chociaż z wieńca marzeń liść po liściu zlata,
ja dni szczęścia chwilami górnych pragnień liczę!«

MOJE ŻYCIE.

Ja nie będę żył długo. Nadto szybko żyję,
nadto serca wydaję, nadto wrażeń chłonę
i zuchwale zanadto oddzieram zasłonę,
która święte obrazy z Sais mrokiem kryje.

Dzisiaj jeszcze potężne tętno w żyłach bije,
jeszcze oko się żarzy i usta spragnione
brzeg puharu chwytają, jeszcze żądzą płonę —
lecz tam zdala już śmierci wąż wyciąga szyję...

Nie dbam, nie dbam, dni kilka mniej czy więcej
będzie,
chciałbym tylko mieć tyle chwil życia i siły,
by nić wysnuć do końca, co się w duszy przędzie,

wcielić w pieśni te myśli, co się tęskne śniły —
i w hymn przekuć śpiewany w zwycięskim obłędzie
ból zwątpienia: a chętnie pójdę do mogiły! —

CHCIAŁBYM...

Chciałbym twarz mieć dla ludzi cichą i spokojną,
wzrok pogodny i w słońce zapatrzony śmiele,
głos, jak wicher, przed którym bór się łanem ściele,
pierś jak lutnię, harmonją czystych dźwięków strojną.

Po co ludziom to wiedzieć, że pierś niby zbrojną
toczy cierpień i zwątpień tak wielkich tak wiele?
że się tarzam samotny tak często w popiele,
w głębi serca znękany straszną ducha wojną? —

Przez me zęby ściśnięte nie przejdzie głos skargi
ani łza się u świata o litość upomni:
ludziom — jeno pobudkę dzwońcie, moje wargi!

Wy — ogień wina pijcie z mej duszy kielicha
i zagrzani na słońce wznoście się ogromni —,
męty ze dna i gorycz — sam wypiję z cicha...

NAPRZÓD!

Bracia! jeśli marzenia wam dziecinne prysły
wszystkie w ręku, jak bańki malowane słońcem;
jeśli wiecie, że marność początkiem i końcem
dziś ludzkości, że ręce jej stare obwisły;

a jeśli przecież dotąd te straszne rozmysły
nie złamały wam ducha; jeśli myśli gońcem
w światło dążąc, gardzicie obłudy zaskrońcem
i czujecie w swych piersiach siły szumne wisły:

bracia! dajcie mi ręce! — prawda naszem hasłem!
Bez ułudy i trzeźwo na bój pójdziem święty,
wstrząsnąć świata wulkanem od wieków przygasłym!

Może zadrży w nim ogień w popiołach zaklęty,
może błyśnie i wstanie gwiazdami usiany,
jak genjusz z wiekowego snu odczarowany!

SONETÓW MŁODYCH

CZĘŚĆ DRUGA.

1892—1895.

NIE WARTO...

Nie warto marzyć! snów już i marzeń bezczynnych
w twardego życia walce zamarła epoka:
ludzkość syta już bajań i kwileń dziecinnych
innego żąda śpiewu, innego proroka!

Nie warto marzyć! Dzisiaj liryczną już pieśnią
nie wzruszysz serca, w duszy nie wzniecisz płomienia:
umilkli trubadurzy — starą rdzawe pleśnią
strzaskawszy lutnie, martwe urwali pół pienia...

Nie warto... Jeśli czasem nieśmiała piosenka
przypomni nutę starą, zdziwieni słuchacze
nie pojmą dźwięku, szydząc nad piewcą boleją...

Nie warto... Wiem to dobrze — a jednak gdy ręka
uderzy w struny, lutnia mi kwili i płacze,
miłości piosnki stare dla ciebie się sieją!...

CZEMU KOCHAM...

Powiedz, dziewczę, o! powiedz, czemu twoje oczy
tak błękitne, dlaczego skra w nich świeci boża,
dlaczego mnie zabłysła wśród życia bezdroża,
czemu w duszę mi wpadła, czemu serce toczy?

Powiedz czemu, gdy śmiechu rozświetli cię zorza,
lico twoje jaśniejsze od niebios przeźroczy —
powiedz, czemu, gdy smutek ci skronie omroczy,
łza twa każda jest czystsza, niźli perły morza?

Powiedz, dziewczę, dlaczego czoło twoje białe,
czemu włosy złocistsze niźli słońce w niebie —
powiedz, czemu spojrzenia martwą topią skałę,

czemu dłoń twa do marzeń anielskich kolebie,
czemu, gdy cię kto ujrzy, śni przez życie całe;
powiedz! — a ja ci powiem, czemu kocham ciebie!

W ŁODZI.

Fala jeziora naszą łódkę pieści,
a cisza w koło nas — i noc już zapada;
księżyca w toniach twarz przegląda się blada,
wietrzyk przynosi z brzegu wonne wieści.

Jak błogo! W głębiach wód coś szepce i gada,
tęskno a lubo fala coś szeleści,
słuchać rozkosznie! Choć nie pojmiesz treści,
zrozumiesz, że ten głos o szczęściu powiada...

Płyńmy! o, płyńmy ciągle naprzód dalej,
dopóki w świecie noc, na niebie gwiazd roje,
póki szept słychać rozpieśnionej fali!

Rozkoszy, szczęścia sen — dziedzictwo to moje!
Nocy urocza! czaru w serca nalej
i kołysz naszą łódź, a w łodzi nas — dwoje!

ŚNIEG NA ZIEMI...

Śnieg na ziemi i drzewa szron gwiaździsty bieli —
a przez białe gałązki niebo łzą błękitną
spada na dół, melodję budząc nieuchwytną
w potrąconych drzew strunach i w śniegów topieli.

Słońce blaski po zmarzłych, skrzących niwach ścieli,
i tęczami djamentu sople lodu kwitną —
a gdy blady wiatr wzruszy drzew koroną szczytną,
perły lecą z drzew cichych, jakby płacz anieli...

Pośród olch rozłzawionych w złotej słońca ciszy
usiedliśmy przy sobie ze wspomnieniem wiosny
pełnej wonnych, majowych, czarownych haszyszy,

szumu dęba, brzóz szeptów i pacierzy sosny;
zima dzisiaj, lecz serce hymn ten jeszcze słyszy —,
pocałunek nas poi — jak niegdyś — miłosny...

POŻEGNANIE.

Bądź zdrowa, luba moja! Gdy słońce jesienne
chmur zawojem oplącze swe czoło promienne,
gór gdy szczyty zbieleją na pobladłem niebie,
wichry zmącą jezioro —: powrócę do ciebie!

Bywaj mi zdrowa! Cóż to? Łza świeci w twem oku?
Nie płacz! otrzyj ją, droga! Niedługie rozstanie!
Wkrótce będziem znów razem, znów przy twoim boku
siędę szczęsny jak dzisiaj... jasne śnić kochanie!

Podaj usta, tak! jeszcze! Namiętny, gorący
pocałunek na drogę niech pali me wargi;
a gdy ciężar tęsknoty osiędzie gniotący

piersi moje i z duszy się wyrwie jęk skargi,
wtedy ogień ust twoich przypomni mi ciebie —
przymknę oczy i znowu będę śnić... o niebie...

Z DALA...

Kiedy słońce poranne do życia mnie budzi,
wstaję z myślą o tobie i o tobie marzę,
gdy już dzień się rozświetli na ziemskim obszarze;
śnię o tobie na jawie pośród tłumów ludzi.

A gdy nocą powieka przymknie się zmęczona,
widzę śnieżne gór szczyty i alpejskie wody,
bluszcz na brzegach i róże i winne jagody,
i ciebie, róż królową z liljami u łona...

Zdaje mi się, że znowu u twych kolan klęczę,
ty mi dłonią włos gładzisz, a ja rozkochany
w bluszcz twe czoło i w piosnki nad bluszcz świeższe
wieńczę...

Niegdyś dzieckiem do Boga modliłem się szczerze —,
dziś odmawiam w pamięci pacierz zapomniany
i przed tobą go składam, bo — w anioły wierzę!

CICHA GODZINA.

Spała na mem ramieniu, południowym żarem
i przechadzką znużona. Łąk skoszonych wonie
z wiatrem lekkim przybyły ochłodzić jej skronie;
las umilknął, by ptasząt nie zbudzić jej gwarem —

i ja cicho siedziałem z swym słodkim ciężarem...
Myśl ma poszła daleko — przez lazurów tonie,
szukać kwiatów i świateł w przyszłych czasów łonie,
by je w wieniec uwite nieść tej drogiej darem,

która ufna, jak dziecię, główkę złotem strojną
na mej piersi oparłszy, śniła kołysana
szumem rozmodlonego lasu i marzennem

źródeł w cieniu szemraniem. A snadź myśl spokojną
słodki nawiedzał zwid, bo warga jej różana
drgnęła, jakby w przeczuciu pocałunków sennem...

PAMIĘTASZ...?

1.

Pamiętasz, luba moja? O, rozkoszne słowo!
Chciałbym dzisiaj pieśń każdą zaczynać tem zdaniem,
u stóp twoich szczęśliwem zajęty śpiewaniem,
snując z miłości starej piosnkę coraz nową!

Pamiętasz, luba moja, co rozmów osnową
było, kiedyśmy żyli ptaszęcem gruchaniem,
złotem jeno marzeniem, szeptem, całowaniem,
w rozkosznych dniach miłości śniąc przyszłość różową?

Pamiętasz, luba, owe przerywane słowa,
owe spojrzenia pełne ognia i zachwytu,
w których kryła się cała miłości wymowa?

Pamiętasz, luba, srebrne te chwile przedświtu,
nim słoneczna nam tarcza szczęściem brylantowa
mgłę rozwiała i błyska u niebios zenitu?

II.

Pamiętasz, luba? Wspomnień rozplotę ci tęczę,
każdy promień jak strunę na lutnię nawiążę,
u nóg twoich usiędę — tęcz i lutni książę —
jak niewolnik snom twoim w takt pieśnią zadźwięczę.

Naprzód struny najcieńsze, jak nici pajęcze,
ocknę dłonią, do śmielszych następnie podążę,
setką dźwięków i blasków czoło twe okrążę,
tobie wszystkie w pieśń jedną, weselną, zaręczę.

Gwiazd ci tysiąc z mej harfy wykrzeszę i dłonią
pod twe stopy rozrzucę — i gwiazd tych potopem
dotąd nęcić cię będę, aż się lica spłonią,

z pod spuszczonych rzęs oczy iskier strzelą snopem
i z uśmiechem mi ręce na szyję zarzucisz,
pocałunkiem do pieśni mej koniec donucisz.

TY MNIE WINISZ...

Ty mnie winisz, dziewczyno? Myśmy wespół winni,
albo raczej zarówno niewinni oboje!
Winą-li to jest naszą, żeśmy byli inni,
niźli te tu codzienne, szare ludzi roje?

Zali naszą to winą, że nam serca wrzały
żądzą szczęścia? miłości? Los nam zbliżył dusze,
jak dwie gwiazdy pędzące w niebo lotem strzały:
trącą się i rozbiegną w ciemność, w dal i głuszę...

Płakać? — cieszmy się raczej! Myśmy niebu skradli
rozkosz jego najwyższą, myśmy w jednej chwili
wieki szczęścia tak błogo, choć szybko przeżyli!

Cierpim? — wszakże anieli z niebios niegdyś spadli
za to, że się ważyli piąć do szczęścia szczytu;
my tam byli! — więc żyjmy wspomnieniem zachwytu!

POSĄG.

Szczęście? Miłość? Ja nie znam tak brzmiących
wyrazów;
gdzieś zgubiłem je z duszy, ze serca, z pamięci,
z drogi życiam odtrącił nakształt martwych głazów:
nic mnie z nimi nie wiąże, nic do nich nie nęci...

Zimny jestem, spokojny, jak posąg spiżowy,
twardszy przez to, że w ogniu silniejszym topiony,
żarem dawnym gardzący, nieczuły na nowy,
drwiący z wichrów, piorunów i — życiem zdziwiony!

Ludzie na mnie się patrzą i zowią kamieniem;
inni, więcej obłudni, nademną boleją:
Patrzcie! — mówią — to człowiek złamany cierpieniem!

Głupi! Sądzą, że mnie te pioruny strzaskały?
Dla nich ryczą orkany, a dla mnie się śmieją;
błogosławię te gromy — one hart mi dały!

DĄB.

Perliste źródło w dal płynie a pluszcze,
w lesie świergoce ptak, gwiżdże, trele sieje;
nagle zaszumiał wiatr... Jęczą czarne knieje,
potężny chorał grzmi z wichrem przez puszcze.

Płacze wysmukły świerk, dąb zaś liściem wieje
i patrzy z góry z pogardą na tłuszczę
brzóz, które wicher nagina i muszcze,
wstrząsa i łamie w lot. Dąb się tylko śmieje.

Nad szklanem źródłem drzemiący młodzieniec
powstał, gdy czarny bór z wichrem wszedł w zatargi;
na twarzy bladej zakwitnął rumieniec,

dawno nieznany gość — uśmiech rozwarł wargi;
on szeptał: Marzeń, spokojnych snów jeniec
dzięk ci za wolność ślę, dębie, drwiący z skargi!

RÓŻA.

Spojrzyj — róża zeschnięta u stóp twoich leży.
Wczoraj rankiem rozkwitła w róż siostrzanych gronie,
wczoraj pierwszy raz słońce pieściło jej skronie, —
w pocałunku omdlałą wietrzyk cucił świeży.

Wczoraj, ledwie wyjrzała z zielonej odzieży,
młody chłopak ją zerwał i przypiął na łonie
dziewczęcia. Tu szczęśliwa rozsiewając wonie
nie wiedziała, że śmierć ją czeka po wieczerzy...

Ach! nie żałuj tej róży! Wszak szczęśliwa była!
Nad kolebką jej słowik śpiewał pieśń miłosną,
później skronie do piersi przesłodkiej tuliła —

a konała zwarzona rozkoszną pieszczotą
w miękkich dłoniach dziewczyny. Czyż nie lepiej wiosną
śniąc o raju umierać, niż jesienną słotą?...

SONETÓW MŁODYCH

CZĘŚĆ TRZECIA

1893—1897.

OSTATNIA GWIAZDA.

Słońce zgasło na ziemi — a było na długo
już przed zgonem czerwone; do węgla podobne,
jak na zgliszcza, na chmury się kładło żałobne,
popielate obłoki tkając iskier smugą.

Zaszło... Księżyc zaświecił zimno ale jasno,
srebrem kiry obszywał po słońca pogrzebie,
aż i jego osnuły i wchłonęły w siebie...
Boże, Boże! czyż wszystkie światła już pogasną?

Nie! Tam jeszcze ostatnia świeci gwiazdka biedna,
na wązkim skrawku niebios czystych sama jedna:
ona zgasnąć nie może — na wieki nie skona! —

Boże! płyną i do niej straszne, czarne chmury,
w zenit skrzydłem sięgają, niosąc cień ponury...
Boże! cóż więc zostanie, gdy zgaśnie i ona?

PRZED OŁTARZEM

Jam ci zazdrościł niegdyś, widząc cię w kościele
wiejskim skromnie schyloną przed ołtarzem Pańskim,
rozmodloną, z płomieniem na twarzy niebiańskim
i łzą w oku lecącem w błękitów topiele!

Patrząc na cię myślałem: Szczęśliwe są dzieci! —
z kadzidlanych obłoków im twarz Boga błyska,
w niebo wzrasta im w duszy ta świątynia nizka,
każda lampa, jak gwiazda promienista, świeci!

Tak myślałem, słuchając, czy tam gdzie u góry
nie zaszumi skrzydłami anioł srebrnopióry,
nie zawiśnie pod łuki sklepionemi ostro

i nie zleci ku tobie w mgły kadzideł szare —
Tak myślałem ja, który gdzieś... zgubiłem... wiarę,
uniesienia i — złudy zazdroszcząc ci, siostro!

W KATEDRZE.

Już *cicerone* wszystkie mi nazwał ołtarze,
wszystkich mistrzów obrazy pokazał — i głosem
krzykliwym objaśniwszy, zakończył z patosem:
»To cudowne, *signore!*« Stoję cichy — marzę.

Tam nademną sklepienie kopułą się dębi,
sto filarów ją trzyma, pomiędzy filary
mgłą się snują ostatnie kadzideł opary,
a przez mgłę tę złocisty ołtarz błyszczy w głębi.

Cisza. Popołudniowe słońce się zakradło
między łuki i błyszczy, jak złote widziadło
dni minionych... O! cicho, i święcie, i błogo —

Czar mię dziwny owionął, już zgiąłem kolano:
chciałem klęknąć, modlitwę dawno zaniedbaną
szeptać, — nagle zadrżałem: modlić się! do kogo?...

PYTAM CIĄGLE...

Pytam ciągle — lecz darmo czekam odpowiedzi!
Pytam ciągle, lecz bytu tajnej treść zagadki
jest jak owe paproci w starych baśniach kwiatki:
kwitną pono, lecz miejsca oko nie wyśledzi!

Mędrców świata powieści — to brzęk pustej miedzi!
Huczą głośno, lecz kłam im zadają wypadki,
kłam zadają im dusze, nad skreślone kratki
dziką myślą sterczące. Mędrzec w księgach siedzi:

zachciał bujny prąd życia z jednej zbadać kropli!
Zgłębi-ż ducha tajniki z wierzchniej szaty? — snop-li
zboża plenny oceni ze słomy okruchów?

Nie odnaleść wam prawdy: w księgach się nie mieści!
Bóstwa jakieś zazdrosne tajnej strzegą treści;
pytać ciągle i — darmo: los to ludzkich duchów!

JA NIE UMIEM...

Ja nie umiem być jako owi mędrcy świata,
którzy całe swe życie nad jednym owadem
przesiedzą, jego skrzydeł zajęci układem,
lub nad listkiem rośliny długie trawią lata.

Myśl ma pała raz jasnem, raz znów światłem bladem,
raz się wszczepia w szmer drzewin, raz się z niebem
brata,
czasem perły i róże w kraśne wieńce splata,
czasem w ciernie zamienia z róż i pereł djadem.

Kiedym kochał — w miłości całe niebo tlało,
kiedym tęsknił — we łzach się roztapiała dusza,
gdym rozpaczał — to piekło w piersi mojej wrzało;

wszystkie kwiaty mych uczuć wonie miały świeże:
do udawań ma lutnia nigdy się nie zmusza —,
jedno gdy się zaśmieję — to jakoś nieszczerze...

ZMROK JESIENNY.

Mglista jesień na świecie. O zroszone szyby
pluszcząc krople deszczowe uderzają z cicha;
mroku pełno na dworze i mrokiem oddycha
zakątek każdy mojej samotnej siedziby.

Beznadziejnie mi w duszy i smutno, jakgdyby
świat pustelnią był starą a ja cieniem mnicha,
co po śmierci się tuła i płacze i wzdycha,
patrząc na łanu życia zachwaszczone skiby...

Ha! ja wiosną zasnąłem przy pługu wśród pola,
przeszło lato i jesień — i lemiesz już rdzawy,
ręka słaba a wkoło pełna chwastów rola...

Wkrótce szronem okryte powarzą się trawy,
włos się szronem ubieli; niespełniona dola,
niespełniony cel życia... ha! śnieg będzie krwawy!

TANIEC.

Cisza. Księżyc zagląda w wnętrza głuchych alej,
wonie kwiatów się snują dziwne i tajemne,
a śród woni, w księżycu — jak dwa duchy ciemne —
milcząc idziem oboje coraz dalej... dalej...

Wiatr się zerwał i tany wnet zawiódł nadziemne;
wstrząsa drzewa, wciąż silniej, potężniej, zuchwalej!
słyszę — woła: O, świecie! tańcz ze mną i szalej!
chcesz spokoju? snu? ciszy? — życzenia daremne!

Drzewa drgnęły i szumiąc jęły trząść się w wietrze,
z płaczem wielkim liść roniąc z rozwianych warkoczy —
a wiatr z zgrzytem z gałęzią suchą gałąź zetrze,

targnie szczytem, zakręci i znowu przytłoczy...
Hej! ho! taniec! — i jeno liście coraz rzedsze
i wciąż więcej ich spada — ginie... w proch się toczy...

NOC.

Ziemia za dnia znużona życiem wrzącem, skwarnem
w sen zapadła niezdrowy. Śpią olbrzymie płuca,
żaden oddech z nich wiatrem ciszy nie zakłóca;
ciężko, duszno na całym kręgu świata marnym.

Ciemne niebo się skryło wód wyziewem parnym,
księżyc martwy i blady mrokiem twarz zasmuca,
z góry ledwie jaśniejszą plamę w chmury rzuca,
gdyby perłę błyszczącą na całunie czarnym.

Szkli się wielkie jezioro, jak mętne zwierciadło;
pomarły nad niem wiatrów kłótliwych westchnienia,
ciche zatem a straszne do brzegów przysiadło.

A jam siedział smutniejszy niż wszystkie stworzenia,
bo z północnej gdzieś strony szło ku mnie Widziadło,
z pełnym w ręku kielichem — żalu i zwątpienia...

WYZNANIE.

Słaby, słaby jest człowiek, choć udaje siłę;
słaby, kiedy otworzy w samotności serce
i myśl bada w niesfornej zbłąkaną rozterce,
w duszy własnej się wgłębia czeluści zawiłe.

Można kłamać przed światem — lecz przed sobą
trudno,
kiedy marność się widzi na dnie duszy własnej,
gdy się czuje, że każdy przebłysk myśli jasnej
w otchłań kędyś zapada bezdenną i brudną...

I żałuje człek życia i dziecinnej wiary,
bo już poznał, że zmęczon i przed wiekiem stary,
że mu dzisiaj marnością — a jutro żałobą!

Po tych walkach samotnych, widząc ból na czole,
czy nie chory? — pytają w towarzyszów kole;
ach! — on tylko przez chwilę sam rozmawiał z sobą!

STOKROĆ LEPIEJ...

Stokroć lepiej jest orłu przy gromach i grzmocie
z dziką burzą się łamać, co mu z skrzydeł pierze
gryzie zębem piorunu, garścią wichru bierze
i rozrzuca w deszcz lśniący przy błyskawic złocie;

stokroć lepiej w nieścigłym zbłąkanemu locie,
zagnanemu z chmurami nad morza bezbrzeże,
stracić siłę i upaść na wieczyste leże
w mokre fale i zimne, — niźli siedzieć w grocie

gdzieś zapadłej i dumać o bezmiarach nieba,
skałach, słońcu i wichrach, o gromach i burzy,
tęsknić do nich i razem czuć, że już się trzeba

wyrzec lotów, bo bystre gdzieś przepadły pióra —,
czuć, że skrzydło już chęciom, jak dawniej, nie służy,
że się zwolna bezmocy noc zbliża ponura...

ZA SŁOŃCEM.

Naprzód! w górę! — Jak wicher zerwał się i pędzi
przez skał stoki, na szczyty, tam, kędy w błękicie
gwiazda dzienna rozlewa promieniste życie,
tęczą blasków zachodnich nucąc śpiew łabędzi...

Kosodrzewin się czepia, głazów, skał krawędzi —
wyżej, wyżej! — te trudy opłaci sowicie
jeden oddech swobodny tam w górze, na szczycie,
w słońca blasku! Przeklęty, kto sił na to szczędzi!

Wyżej! wyżej a prędzej! — Słońce już zachodzi;
prędzej! — chwila wysiłku, a na szczyt się wepnie,
będzie kąpał się w blasków złocistej powodzi!

Nagle stanął, tchu brakło w piersi, drgnęły nogi:
słońce zaszło!... Noc długa — — siła ramion krzepnie —,
dumał chwilę — i w przepaść runął w środku drogi...

WASZA WINA.

Hej! dajecie nam hasła i każecie z wiarą
w bój iść życia, nie zlęknąć się ni upaść w walce,
a my idziem na oślep, młode zagorzalce!
walczyć za to, co złudą jest tylko i marą!

Ale wkrótce broń pęka rdzą zgryziona starą,
a my stajem bezbronni, bledniem, gryziem palce
zrozpaczeni... — wy winni! co gliny kawalce
miast granitu nam dali! My tylko ofiarą!

Czemuż zatem nas klniecie, gdy fałszywe bóstwa
depcem mściwi i wściekli, lub gdy błądzim w cieniu,
bagien widząc ogniki nawet w gwiazd promieniu?

Póki fałsz nam dajecie, mary i oszustwa
miasto prawdy, choć gorzkiej — grzechów naszych
mnóstwa
ciążyć będą, o, mistrze! na waszem sumieniu!

»SPRAWIEDLIWYM«.

Ludzie, których szał w piekieł nie pociąga ciemnie,
którym grom namiętności nie żre chorej duszy,
ani fala krwi ciepłej rozumu nie głuszy,
ani wicher pożądań lica w zmarszczki zemnie;

choć wy czystsi i świętsi postokroć odemnie,
choć nie znacie jaszczurczych wyrzutów katuszy,
ani rozpacz wam oczy z łez ostatnich suszy:
podziwu ni zazdrości nie wzbudzicie we mnie!

Nie jest wołu zasługą, co o żłobie marzy,
kark nawykły do jarzma schylając w pokorze,
iż pod biczem nie myśli o próżnym oporze,

ani żądza wichrowych pędów w nim się żarzy;
sprawiedliwi jesteście, bo grzech dla was trudny:
morską burzą nie zionie przestwór bagien brudny!

CLAMAVI...

I.

Śmiej się! — Dziś świętokradzko wznoszę dłoń do
Ciebie,
którąś dotąd w modlitwach jeno przez lat wiele
widział k'niebu wzniesioną — błagalnie, nieśmiele —
i ja, robak, przeklinam Cię, Stwórco, w Twem niebie!

Żeś mi — palmie — żyć kazał na śnieżystej glebie;
żeś mi wielkie i święte pokazawszy cele,
nie dał gromów potęgi, co w pył głazy miele,
lub jej kłamstwa przynajmniej — głupiej wiary
w siebie;

żeś mi kazał w wieczystej tworzenia męczarni
własną niemoc poznawać — a oddychać burzą,
której grzmotom podziemnym echa nie zawtórzą —

i patrzeć, jak mych myśli kłos nieźrały czarni
aniołowie ze śmiechem kładą na swym sierpie:
bodajś cierpiał choć przez pół tak, jak ja tu cierpię!

II.

Matko! matko! o matko! Nie! ja kląć nie mogę
biednej, siwej Twej głowy! Więc — błogosławiona
bądź, żeś iskrę mi świętą wszczepiła do łona —
chociaż wzrósłszy w straszliwą, piekielną pożogę,

piersi żre mi bezsilne; żeś wskazała drogę
w jasne słońce — choć na niej tłum szaleńców kona;
żeś mi w skrzydła szerokie ubrała ramiona —
choć ich dźwignąć nie zdołam; że mam świętą trwogę

przed miernością, choć czołem nie sięgam błękitu;
że chcę — ślepiec szalony — być zwiastunem świtu;
że chcę innych podnosić — choć sam sercem krwawię;

żem ukochał blask prawdy — choć me ścieżki błędne;
choć się słaniam i padam, choć umieram, więdnę:
matko! — wina nie Twoja! — ja Cię — błogosławię!

SONETÓW MŁODYCH

CZĘŚĆ CZWARTA.

1896—1897.

PRAGNĘ!

Pragnę! — pragnę miłości nadziemskiej, bez zmazy,
ze łzy szczęścia wieczorem majowym poczętej,
jak duch czystej i silnej, dziewiczej i świętej —
i której nawet grzechem zdają się wyrazy...

Pragnę! — Pragnę w wieczorne i ciche godziny
myśl dziewicy przeczuwać kochającej bardzo;
chcę tych wyznań miłosnych, co słowami gardzą,
lecąc w duszę, jak promień księżycowy, siny,

kiedy rosa przewonna w kwiatach cię kołysze,
gdy mgły suną — a miesiąc srebrzy je dwurogi,
płynąc wolno nad lasy ciemne i rozłogi — —

O! w noc taką, w noc letnią, w tajemniczą ciszę
w sercu duch by się zbudził, szedłby na świat mgli-
sty —
wielki, święty i cichy, jak łza dziecka czysty — —

W LESIE.

Pamiętasz? — borem szliśmy ciemną nocą,
a gdzieś daleko przeciągały burze:
grzmot się ozowie i błyskawic róże
między sosnami krwawo zamigocą...

I krótką, krótką chwilę puszcza głucha
oczarowana błyskawicą złotą
dziwnie jaśniała. Gdy zgasła — z tęsknotą
znów my czekali ognistego ducha...

O! piękne były te płomienie w boru!
Cóż! już zagasły. Śród cieniów przestworu
ptak tylko nocny w konarach łopoce.

Prawda? — tak czasem puszcze życia ciemne
ognie rozświetlą dziwne i tajemne —,
zgasną — i długie zapadają noce...

CIRCULUS VITAE.

Cichą aleją, w wieńce wonnych lip ubraną,
szliśmy razem w świt złoty i w zorzę różową;
cichą, starą aleją sam — z schyloną głową —
wracałem: to był wieczór, tamto było rano...

Dziwna! jak wiele życia w jednym dniu się zmieści!
Świt nadziei, brzask szczęścia, błysk rozkoszy krótki,
burza zwątpień, zawodu grom i wichry-smutki,
żalu zmierzch i noc wzgardy, rozpaczy, boleści...

Jeden letni dzień tylko!... od zorzy do zmroku!...
Znowu słońce zachodnie, jak niegdyś poranne,
złotem drzewom haftuje zieloną sutannę,

tylko blask się coś krwawszy zdaje memu oku
i w nieskończoność droga znajoma się dłuży...
Młody wyszedłem, starcem powracam z podróży!

SONET TRÓJZGŁOSKOWY.

Dziewczyno!
wspomnienia
wśród cienia
już giną...

Hej! płyną
marzenia,
cierpienia —
w dal siną!

Daleko
bez końca
się wleką;

już jesień
dla słońca
uniesień.

ŚPISZ JUŻ.

Śpisz już... Jeszcze przed chwilą pragnąca, namiętna
w mym uścisku się wiłaś i usty z płomienia
twarz mi piekłaś — i czułem twego ciała drżenia
i w obłędzie rozkoszy krwią bijące tętna...

Śpisz już... Jeszcze mnie palą pocałunków piętna,
czuję uścisk ciepłego, miękkiego ramienia,
widzę falę twych piersi — ale myśl się zmienia,
żądza gaśnie, zaduma wstaje cicha, smętna...

Białe członki twe w świetle księżycowem miękną;
zapominam, żem rozkosz czerpał z nich zwierzęcą,
myślę tylko, jak białą jesteś i jak piękną...

I żal mi, że oboje nie jesteśmy czyści,
że nie możesz tak przy mnie z ufnością dziecięcą
spać śród lilij na łożu z jaśminowych liści...

NA ODCHODNEM.

Długo, długo twych ramion palące uściski
w pamięci mojej tkwiły! Twa postać, twarz, słowa—
skryte w sercu, jak w muszli jagoda perłowa,
duszę raniły, żem był obłąkania blizki...

Oczy moje urzekłaś piersią odaliski
a myśli słów kwiatami — a kiedy ma głowa
do stóp twoich przypadła, tyś była gotowa —
igrając — w grób mnie wtrącić z pierwszych snów kołyski!

Powieść stara! lecz niemniej jest bolesna przeto.
Jeno, żem ja w grób lecąc, wstrzymał się na zrębie
i zwycięstwa pełnego nie dał ci, kobieto!

Nie złamałaś mi życia: nadto sił w niem było,
lecz zmąciłaś mi burzą do dna duszy głębię;
dziś już spokój — lecz długo się serce krwawiło...

NIE WIERZ!

Nie wierz mi, dziewczę, choćby i przysięga
z ust mych do Ciebie poszła prosić wiary!
Nie wierz! — jam różne wychylał puhary,
a wciąż po nowe jeszcze dłoń ma sięga.

I słodycz wina, miłości potęga,
słomiane w piersiach mych wzniecają żary...
Gasną tak prędko! Z wypróżnionej czary
gorycz się potem i przesyt wylęga.

Nie wierz mi, — proszę...! Twe usta tak świeże
i tak dziewczęce — — ust twych dla mnie szkoda!
Ja bym je skalał... Tyś tak jeszcze młoda,

a ja w anielskie miłoście nie wierzę!
Chciałbym całować, ale wyznam szczerze:
jutro zapomnę tej, co ust dziś poda!

ROZKOSZ.

Cha! cha! — to dobre! Dziewczę, ty myślisz, że ja cię
kocham?! Rozkoszy tylko ja pragnę — rozkoszy,
która wszystkie tęsknoty, wszystkie mary płoszy
i spala myśli zmysłom w płomiennej objacie!

Kiedy szał mnie opuszcza, ja cię nienawidzę!
gardzę tobą, ty piękne, ty bezduszne zwierzę!
Gardzę tobą i śmiech mnie dziki, straszny bierze:
z pocałunków, z rozkoszy, z ciebie, z siebie szydzę!

Ale wracam. Znów wracam w twe miękkie ramiona,
usta znowu do ust twych cisnę i do łona,
chcąc nasycić me zmysły, co jak węże syczą,

a uśmiercić tę Psychę głupią i dziewiczą,
która w błocie zszargana tęskni wciąż, bez końca,
za czystością, za niebem, do Boga i słońca...

KWIATEK.

Dałaś mi kwiatek i rzekłaś: »O panie!
»niech pan pamięta... niech pan kwiatek schowa...«
Ja mam pamiętać? i ten kwiat, i słowa,
i oczy twoje? — Ach! nie jestem w stanie

tyle przyrzekać! Zapomnę, kochanie!
Kwiatek i głos twój i buzia różowa,
błękitne oczy i twa kosa płowa —
takie codzienne! Dzisiaj patrzę na nie,

jutro podobne zobaczę, po jutrze
znowu podobne... Czemże ty mnie zmusisz,
bym wspomniał ciebie? Ach! darmo się kusisz

wzbudzić wspomnienie we mnie choć najkrótsze!
Mnie nie wystarczą usta, warkocz złoty,
abym pamiętał i wzdychał z tęsknoty!

„OPHELIA! GO TO A NUNNERY!“

Nie płacz! szkoda twych oczu! Dziś mnie łzy nie wzruszą.
Nie płacz! cóż ja ci winien, że już kwiaty więdną?
nie trza było ich zrywać! Byłaś nieoględną;
nie ożywić zeschłego kwiatu nową duszą!

Wczoraj jeszcze kochałem — dzisiaj już nie mogę;
dziś ty obca tak dla mnie! Widzisz, mówię szczerze:
miłość przeszła i litość dziś mnie tylko bierze —.
Ja nie winien. Pójdziemy każde w swoją drogę.

Co? ty kochasz? Daj pokój — i nie łudź się sama!
Nie kochamy oboje. Czarodziejska brama
już zamknięta. Więc śmiej się! — bodaj dla pozoru...

Śmiej się! Oczy masz ładne i jeszcze niejeden
będzie widział w twych oczach zbawienie i eden.
Co? ty nie chcesz? — Ofeljo! idź więc do klasztoru!

DWA SONETY.

I.

Z czarnych oczu twych patrzy smutek cichy, wielki —
i bolesny pół-uśmiech rozchyla twe wargi,
chociaż z ust twych nie słychać jęku ani skargi,
chociaż w oku nie widać łzy ani kropelki — —

Pochylona w dal patrzysz gdzieś w minione lata,
łowisz uchem wspomnienia słów przebrzmiałych dawno,
— słów miłości?... I w sercu twem widno i jawno,
jak w noc jasną, gdy ziemię bieli śniegów szata.

Wiesz ty? — wiesz ty, że wiosna nadchodzi po zimie?
że pod śniegiem schowane traw pączki znów wzrosną,
ptaki wrócą i kwiat się zbudzi, co dziś drzymie? —

Wiesz ty? wiesz ty? — O! chciałbym, aby moje serce
było słońcem dla ciebie, nowem życiem, wiosną,
która pola śniegowe stroi w traw kobierce...

II.

A toż głupstwo bym palnął! Nie pierwsze, niestety!
Tak, dalibóg, nie pierwsze! — no, i nie ostatnie...
Hej! maluczko a byłbym wdepnął w śliczną matnię!
— cóż? — oświadczyć się chciałem! Och! ach! te
kobiety!

Grała na fortepianie, pisała sonety
i Spencera czytała — cóż więc trzeba? Lat nie
liczyłem, alem myślał: nasze dusze bratnie...
— Wiadro wody — a zimnej! i »zjadł pies kotlety«!

O tak! dzisiaj się śmieję i bluźnię i szydzę,
lecz to gorycz... Me serce mieszkało w kościele,
dziś gdzie? w chlewie! O, daruj, kpię, choć słów się
wstydzę...

Daruj wiersz ten... Ty szczęście byś mi dała może,
lecz ja nie śmiem — już późno. Ach! lat tak nie wiele,
a już tyle straciłem... I przez co? mój Boże! —

WIDMO.

1894.

I.

Więc we śnie tylko, we śnie widuję cię zawsze?
Nigdy do mnie nie przyjdziesz w jasny dzień — prawdziwa?
Darmo serce cię kocha i darmo cię wzywa,
darmo oko łzy roni coraz cięższe, krwawsze?

Przyszłaś w nocy i sny znów wzbudziłaś najłzawsze...
Przyszłaś mglista i święta, daleka a tkliwa;
jam cię odczuł i we śnie dusza mi się zrywa,
a ty znikasz! O bądź-że mi, widmo, łaskawsze!

Raz na jawie cię widzieć, o, piękności żywa!
o, raz tylko! — a każę tym pieśniom, co jęczą,
śpiewać hymny szczęśliwe, boskie czynić dziwa!

Lecz ty mglista... i we śnie tylko błyskasz tęczą?
Czemu? czemu! Ja cierpię i grób się odkrywa!
daj mi pokój! wszak widzisz, jak te sny mię męczą!

II.

Daj mi pokój! wszak widzisz, jak te sny mię męczą!
Drżący budzę się rano i smutny i blady,
żyć nie zdolny i chcący grobowej zagłady,
kędy niema rozkosznych marzeń, które — dręczą!

Com ci winien, żeś duszę tak siatką pajęczą
oplątała, iż, nim się domyśliła zdrady,
późno było się wyrwać? Dziś marzeń kaskady
zasłoniły mi ziemię; — pieśni tylko dźwięczą

w mgle tej białej, jak muszki złote lub owady —
brzęczą w dole, nademną, koło mnie i wszędzie —
już ich dużo, och! dużo... tysiące, myrjady...

już wleciały do mózgu — i w szalonym pędzie
mózg mi kręcą, w najgłębsze wgryzając się składy...
Mnie szaleństwo się chwyci, gdy tak dalej będzie!

III.

Mnie szaleństwo się chwyci, gdy tak dalej będzie!
Odejdź! odejdź, o, widmo, i nie męcz mnie dłużej!
Zniknij-że już na zawsze! Twój widok mnie nuży;
myśl wspomnienia bez końca — ach! — bez końca
przędzie...

Odejdź! — Oto się marzą twe piersi łabędzie...
Zniknij-że już! — Woń włosów twoich, czy woń
róży?...
twój to oddech, czy cichy wiatr po letniej burzy?...
Zawrót czuję, jakgdybym przepaści krawędzie

miał przed sobą... Lecz mniejsza... Oko mi się mruży...
Chciałbym zasnąć... Przybywasz?! Dobrze. Wszak
ciekawsze
sny od jawy... Przybyłaś? — niech ci mózg mój służy;

zrób zeń lutnię, lub światło od słońca jaskrawsze...
wszystko jedno! Sen niechaj zejdzie na mnie duży,
gdyż we śnie tylko, we śnie widuję cię zawsze! —

W BLASKU KSIĘŻYCA.

1896.

I.

Słuchaj! — i nie dziw się, kiedy ci powiem:
ja cię kochałem! Godzinę? Niedłużej.
Był wieczór — pomnisz? — i cisza po burzy;
niebo szarzało jeszcze chmur ołowiem,

a staw posępny, zarosły sitowiem,
jękiem żab dyszał, co tak tęsknie wtórzy
myśli, gdy duszy firmament się chmurzy,
zasłany wokół zgasłych wspomnień mrowiem.

A my szli razem w woni łąk — przez pole;
rosa perliła się na ścieżki żwirze —
a obok w czarne ubrany topole

cmentarz, oparem przysłonięty, głuchy,
w girlandach bluszczów bielejące krzyże
cicho przed nami przesuwał, jak duchy...

II.

Szliśmy tak długo, nie mówiąc do siebie.
Staw jęczał cicho, wtórzyły mu trzciny —
i wolno chmur się rozdarły gęstwiny,
gwiazd kilka błysło na bezdennem niebie,

jak gromnic kilka po słońca pogrzebie.
Kwiatów kadzidła szły ponad doliny —,
wtem wolno, wolno — wpółsrebrny, półsiny
księżyc wypływa, w chmurkach się kolebie,

srebrzyste, złote, białe pióropusze
rozwiewa wkoło, znika i znów patrzy,
całując nocnych traw zielone plusze

i z chmur ostatka krzesząc blask mosiężny,
skąd błysk mu czasem — coraz słabszy, rzadszy —
odpowie z grzmotem więdnącym zamężny.

III.

Siedliśmy razem na białym kamieniu
przy drodze. Wtedy ty zaczęłaś z cicha
mówić, jak wielkim twoja pierś oddycha
bólem, jak wiele już w przeszłości cieniu

złudzeń zginęło — i jak przy wspomnieniu
szczęścia, co serce jeszcze-ć dziś rozpycha,
przyszłość ci zdaje się ciemna i licha —
a jam łzy słyszał w słów twych cichych drżeniu.

»O szczęście! szczęście... — rzekłaś — gdyby serce
»mogło już umrzeć! Gdybym była zdolna
»pozbyć się pragnień!... Ale tej iskierce

»z życiem zagasnąć. Kochałam człowieka —
»już odszedł. Jestem dziś jak ptaszę wolna,
»ale bez gniazda —, nie wiem, co mię czeka.«

IV.

Dłoń swą do zwiędłych ust cisnęłaś drżąca,
blada na licach, na wargach bezkrwista;
jedno w namiętnem oku skra ognista
drżała — po burzy, przy blasku miesiąca.

»Jestem jak gwiazdy, które Pan Bóg strąca
»z nieba w noc letnią. Może nie dość czysta
»byłam, więc zgasił mię niebios Artysta,
»choć byłam bardzo, bardzo kochająca...

»Gdyby zapomnieć! Lecz ja jeszcze żądam
»tych ust, co niegdyś pieściły me usta;
»wiem, że nie wrócą, a przecież wyglądam,

»pragnę i męczę się, tracąc nadzieję...
»I cóż dziś ze mnie? Ziemia dla mnie pusta —
»tak rzadko płaczę, nigdy się nie śmieję — —«

V.

Skończyłaś spowiedź. Jasny blask księżyca
lał się po ziemi zimną skier kaskadą —
i twarz ci bladą czynił więcej bladą,
więcej zwiędłemi twoje zwiędłe lica.

Ostatnia jeszcze cicha błyskawica
przeszła po niebie — i chmury się kładą
lekko na lasy. Srebrzystą gromadą
lśnią gwiazdy — w świecie głusza i tęsknica...

A w tej tak tęsknej, w tej bezdennej głuszy,
pod niebem lśniącem srebrnemi gwiazdami —
z zadumą wielką, tajemniczą w duszy,

z myślą, co razem wspomina i marzy,
tęskni i pragnie — my siedzieli sami,
z dala od siebie —; ty z łzami na twarzy...

VI.

I wtedy oczy me, jak dwa promienie,
przyszły do ciebie, w twą duszę się wdarły,
całując kwiaty, które tam pomarły,
całując święte dawnych wspomnień cienie.

I czułem ból twój, twe gorące tchnienie,
i łzy, co świeżość z młodych lic ci starły,
i słowa, które pierś ci niegdyś parły —:
czułem ich ogień, ich namiętne drżenie.

I w tajemniczem tem świetle księżyca
tyś mi się zdała, jak te groby stare,
w których śpią białe skamieniałe lica

w woni balsamu długich lat tysiące...
I jam cię kochał — jak snów łzawą marę,
jak kwiaty kocham jesienią więdnące.

VII.

O! jam cię kochał! Księżyc płynął w górze,
a ziemia martwa była, — ty na ziemi
zastygła, cicha, z oczyma suchemi,
jak Njobe w białym wykuta marmurze.

Podobna byłaś wypłakanej chmurze,
co, gromy zionąc pierśmi ognistemi,
znużona w końcu zciszy się, oniemi
i śni, że były w niej gromy i burze — —

I nagle wstałaś mówiąc: »Wszystko minie!
»księżyc, noc letnia, i młodość, i życie...«
O tak! I chora ma miłość w głębinie

przeszłości zgasła — serce jeno chowa
wspomnienia — tajne głoski na granicie —,
lecz nie ożywi ich nigdy — — Bądź zdrowa!

PRZY ROZSTANIU.

1896.

I.

»Daj mi swe piosnki, chcę je mieć ze sobą.
Daj na pamiątkę. Idę w kraj daleki;
góry i stepy i szumiące rzeki
wnet nas rozdzielą —, wspomnisz? czy z żałobą?

Nie! nic mi nie mów! Jeno przyślij książkę.
Napisz na przedzie, że dla mnie te piosnki —
a między karty dwa białe pierwiosnki
włóż i liljową atłasową wstążkę — —

I przyślij razem. A gdy późno zajdzie
i mnie w zielonej już mogile znajdzie —...
napisz na karcie, żem ci była bratnią,

i niech twą książkę złożą na mym grobie —
a ja tam w trumnie będę myśleć sobie,
żeś na grób przyszedł pieśń mi piać — ostatnią...«

II.

»Czy będę czasem myślała o tobie?
Będę. Nie mogę zaprzeczać i nie chcę.
Muszę. Aż kiedy Bóg mię wezwać zechce
w grób — to zapomnę, lecz dopiero w grobie.

Widzisz, po górach nad Aary strugą
wraz my chodzili, na słońca zachody
patrząc i marząc w takt szumiącej wody —,
jakże zapomnieć? Zapamiętam długo.

Idąc po skałach drogą wązką, ślizką,
gdzie bór w noc szumiał wpatrzony w urwisko,
brałam twe ramię i śród nocy cienia

szłam tak bezpieczna ponad skał krawędzie!
Ja źle robiłam. Gdy cię już nie będzie,
brakować będzie mi tego ramienia...«

III.

»Wplotłam ci liście dębu między włosy
i tak chcę zawsze wspominać o tobie,
widzieć cię w myślach w dębowej ozdobie
zielonej, świeżej, lśniącej perłą rosy...

Pamiętaj o mnie! Na szerokim świecie
dadzą ci wawrzyn, ciernie albo róże;
lecz kwiaty zwiędną, wawrzyn odrą burze,
dębu i ciernia jedno czas nie zmiecie.

Dąb ja ci dałam. Gdy będę daleko,
wspomnij ten wieniec — Łzy mi z oczu cieką
i ból przejmuje serce jakiś ostry...

Bądź zdrów! Ja nie chcę płakać — chcę wesoło
myśleć o tobie... Myśl o mnie... Daj czoło,
żegnam cię, żegnam pocałunkiem... siostry —?«

IV.

»Bądź zdrów! Na długo? Nie pytaj! Już może
nigdy nie będziem mówili do siebie...
Patrz! gwiazda błysła spadając po niebie —
zgasła... — czyż wróci na niebios przestworze?

Bądź zdrów! Nie będziem się nigdy witali.
Tak lepiej. Piosnka w połowie przerwana
śni się — piękniejsza, że niedośpiewana,
czystsza, że ginie echem gdzieś w oddali.

I po co pragnąć nam jeszcze spotkania?
Wiemy już wszystko... W godzinie rozstania
wiesz, żem ci siostrą — ja mam w tobie brata...

I tak w świat pójdziem. A może — pędzeni
losem spotkamy się kiedy — w jesieni,
gdy włos już z głowy, jak liść suchy, zlata...«

NA NOWĄ DROGĘ.

1896.

1.

Zeszedłeś, bracie, z tej wyniosłej drogi,
co między gwiazdy wiodła twego ducha;
powiedz, czy ziemia cię przyciągła krucha,
czy tam na górze tyś gdzie nabył trwogi?

Mów! te zawrotne astralne krainy
czy nie dość ci się wydały pięknemi,
czy więcej tutaj powabu na ziemi,
że zatęskniłeś pośród gwiazd — do gliny?...

Za czem tyś tęsknił? Za piosnką skowronka,
za bławatami pośród łanu żyta,
za polną różą, co w cierniach rozkwita,

za pieśnią żeńców i za blaskiem słonka,
za chat strzechami, za dzwonkiem, co woła
wieczór do modlitw — i za znojem czoła?..

II.

Kiedy wieczorem u proga zagrody
siędziesz po dziennym mozole i trudzie,
patrzysz, jak do dom z pól wracają ludzie —
a żóraw skrzypi, pojąc twoje trzody,

a potem wszystko, wszystko się uciszy,
wszystko zciemnieje — i gwiazdy na niebie
błysną, z błękitu patrząc się na ciebie:
— powiedz — co twoja dusza wtenczas słyszy?

Czy słyszy jeszcze te pędzące słońca?
czy sfer harmonja jeszcze ją dolata?
czy jej nie tęskno, nie ciasno wśród świata

i czy się nie rwie w przestwór — tam — bez końca?...
I czy ci nie żal, żeś wziął ciche brzemię
i z gwiazd tych zstąpił i zeszedł na ziemię?

III.

Śnili, marzyli my o ziemi, niebie:
tyś patrzył w gwiazdy, a ja w ludzkie dusze, —
a dziś — sam jeden śnić i marzyć muszę,
bo ciebie niema, bracie, niema ciebie...

O! dzisiaj ludzie już nie wierzą w Muzy,
ale ja wierzę — i tyś wierzył, bracie;
wszakże i ciebie ta w gwiaździstej szacie
wiodła w kraj słońca, ponad proch i gruzy...

I nawet nie wiem, jak tyś ją mógł rzucić
i jaki powstał między wami przedział, —
i nawet nie wiem, coś ty jej powiedział,

kiedy spytała: Gdzie idziesz? chcesz wrócić? —
Nie wiem, lecz serce mnie boli tułacze,
bo sam zostałem — a Uranja płacze...

IV.

Nie kłam przed sobą i nie mów: zapomnę;
gwiazd nie zapomnisz, ni tej niebios pani,
co mleczne drogi w wszechświatów otchłani
miała — i państwo, jak wieczność, ogromne.

Bo to twa pierwsza miłość i — najświętsza! —
Choćbyś sto razy zaparł się, to ona
wiecznie tleć będzie w głębi twego łona,
mimo że popiół czas na iskrach spiętrza!

I nigdy w życiu żadnej ziemskiej córy
kochać nie będziesz, jak tę nieb królową,
co dla kochanka jedno tylko słowo

miała: Excelsior! — jeden giest: do góry!
Nie łudź się tedy, bo pókiś tu żywy,
jej nie zapomnisz... ale — bądź szczęśliwy...

V.

Ja cię nie winię, choć złożyłeś skrzydła
i chociaż oczy w gwiazdy zapatrzone
na ziemię-ś zwrócił i poszedł w tę stronę,
gdzie znój zabija fantazji mamidła...

Ja cię nie winię, bo ja wiem, że czasem
trudniej do pługa zgiąć się, niż iść w nieba,
i trudniej słowa wyrzec się, niż chleba,
trudniej być mrówką, niżeli Atlasem!

Bo do tej pracy mrówczej i mozolnej
nie wiedzie poklask tłumu ani pycha;
tu »ja« człowieka korzy się i zcicha —,

ale do kropli wytrwałej, powolnej,
podobne, wespół z kroplami innemi
kamienie żłobi, stawia pokład ziemi...

VI.

Idź więc na trudy i na krwawe znoje,
idź w pocie czoła uprawiać swą rolę,
idź ciernie trzebić i plewić kąkole —
na święte, chociaż mi rozgłośne boje!

A choć potomność kolumn ci nie stawi,
szczęśliwszy będziesz kiedyś w wiejskim grobie,
jeśli tam bracia zapłaczą po tobie
i lud pamięci twej pobłogosławi.

Szczęśliwszy może, niźli ja, co w drodze
o ciernie serce zakrwawiam, nie dłonie,
niż ja, co wiecznie gwiazdy ducha gonię,

niezdolen ziemi dać skrzydlatej nodze!
Bądź zdrów... to los mój. Choć z innego świata,
jak zawsze miałeś, tak masz we mnie brata.

GALATEA.

1894.

1.

Jako rzeźbiarz bezkształtne, marmurowe głazy,
myśl ma mroczne ciosała wierzenia, poglądy, —
a z pod dłóta pryskały, jak okruch, przesądy,
aż się zrodził kształt czysty i biały bez skazy.

Posągowi nadałem twarz pełną ekstazy,
stopy jego podniosłem nad powszednie prądy,
pierś mu dałem szeroką, skróś pustynne lądy,
tak wędrowca wabiącą k'sobie, jak oazy...

Czar był w moim posągu święty a zdradziecki;
zachwycony do bogów modlitwą namiętną
zawołałem, by dali głazom życia tętno,

bom rozkochał się w dziele, jak ów rzeźbiarz grecki,
który ponad widziane piękności — z kamienia
większe cudo uczynił potęgą natchnienia.

II.

— Galateo mej myśli! o, szczęścia epoko!
snami wieszczów wskrzeszane ty przyszłości dziecię!
wielka, bratnia miłości! o, kiedyż na świecie
błyśniesz, by samolubstwa noc rozwiać głęboką?

Zbudź się! Nad życia męty wzniesiona wysoko
roztrąć bogi fałszywe, nie ludzkie, lecz krecie;
daj, niech bagna pokryje wonne lilij kwiecie,
niech się głazy zczerniałe bluszczami obloką!

O zbudź się, zbudź się, zbudź się, ideale świata!
Tyle piersi cię wzywa do życia, do czynu!
Zbudź się! przystrój swe czoło gałęzią wawrzynu,

niechże w twoim uścisku cały świat się zbrata! —
Darmo wołam! Mej myśli kochanka nie słucha,
żaden z bogów w jej piersi nie chce wetchnąć ducha...

III.

Czyż nie zbudzi się nigdy? O, zbudzi! Ja wierzę!
Przyjdą ludy jej pokłon oddać, jak królowej,
przyjdą wielbić ją duchem i czynem i słowy,
przed obliczem jej zawrą wieczyste przymierze...

Lecz do życia nie zbudzą jej wieszczów pacierze,
ni ją duchem ożywi rozkaz olimpowy;
ona wstanie, gdy głos ją zawoła wichrowy
całej ziemi, pragnącej królestwa jej szczerze!

Kiedyż chwila nadejdzie? W koło ciągle głusza,
posąg stoi wciąż martwy i wciąż jeszcze czeka
głosu życia od pana i sługi — człowieka.

Cisza. Żaden wiew piersi z marmuru nie wzrusza;
zwątpienie walczy krwawo z nadziei pociechą...
— Stójcie! słyszę! — Już płynie pierwsze pieśni
echo!

IV.

Ha! o marmur uderza jakiś głos zmieszany;
krzyczy ziemia, (czas powstać!) ludzkość krzyczy cała! —
Jakby morskim przypływem uderzona skała,
tak zadrżał posąg święty, posąg nieskalany...

Ożyj! — Chwila — a cud już będzie dokonany!
Ożyj! — Pieśń rośnie burzą, wielka — oszalała —
to pieśń — —? Oh! pierś posągu rysuje się biała,
pęka —, stójcie? — czy ludzie krzyczą, czy szatany?

To jest pieśń ta? — To odgłos mordu i pożogi!
bratobójczych walk szczęki i krzyki rozpaczy! —
Stójcie! — posąg mój pada! — stójcie! co to znaczy?!

— Zwalił się posąg w gruz i proch pod moje nogi
i ułamkiem lic boskich pogląda mi w oczy —
a tam światem hymn świata wieczysty się toczy...

POKUSA.

1894.

I.

Nadszedł tedy dzień zwątpień, pokus i rozpaczy...
W dniu tym słońca nie było: cały świat był szary
a w powietrzu wisiały zgniłych wód opary, —
i pytałem: czyż nigdy nie będzie inaczej?

Jakże ciemny ten żywot, ten żywot tułaczy!
Mało światła i znikąd w lepszą przyszłość wiary:
kropla szczęścia nie słodzi bólu pełnej czary,
a do tego tak rzadko wpaść w tę czarę raczy...

Nigdzie, nigdzie oparcia, wszystko drży pod nogą,
— myśli w głowie się biją, jak w klatce ptaszęta:
na świat chciałyby boży, a wzlecieć nie mogą!

Biedne myśli! i po co rwać żelazne pęta?
Nagi szkielet świat kryje pod jedwabną togą,
czemuż nęci was, myśli, trupia twarz wyschnięta?

II.

Warto było dla skrzydeł nie oszczędzać znoju
i myślami szturmować w gwiaździste rejony,
kiedym śnił, że rozchmurzyć mogę świat zamglony
i że szczęście wybłysnąć może z tego boju!

Dzisiaj tonę w zwątpieniu, w myśli czarnych roju:
w pierwszym dniu bitwy jestem już ciężko raniony,
w pierwszym dniu pracy jestem już ciężko znużony,
w samym życia początku już pragnę pokoju...

Więc przychodzi czasami jakaś trupia mara,
mówi: »Czego się lękasz? Stargaj bytu nici!
TAM cię czeka Nic wielkie i zapomnień czara,

tam cię otchłań i bezmiar i chaos pochwyci,
jak ogarnia świec płomyk wątłego komara!«
— Jad się sączy do serca, myśl i duszę syci...

III.

Nie! Precz mi, maro trupia! precz z swoją namową!
Wieczny pokój i wieczny zanik ducha w grobie?
Nie chcę, nie chcę! O, raczej tu w burzliwej dobie
krwawić czoło o losów ścianę granitową!

Precz mi, maro! Do życia, do życia na nowo!
Duch mój zatrząsł się w strasznej zwątpienia chorobie,
ale zdrów jest już znowu, już odpoczął sobie
i chce znowu grzmot słyszeć i surmę bojową!

Może z mojej też walki kiedy kto skorzysta?
Co mi o to, że sam ja nie wezmę zapłaty?
Jęk mój może powtórzy przyszłość dzisiaj mglista,

może rzuci go w ludzi, jak ziarno na rolę,
w chwili, kiedy ciężarna nowe zrodzi światy
i w rozkoszne przemieni dni pomarłych bole...

JUNGFRAU.

1898.

I.

Śnieżystą szatą przyodziana cała
i wstydem zorzy spłoniona różowo
z złotą słoneczną glorją ponad głową
co rano wstaje przedemną ta biała.

W nagości swojej czysta i wspaniała
świeci mi we dnie, a gdy purpurowo
słońce świat barwi łuną zachodową,
mistycznym ogniem znów jak róża pała.

A cichą nocą w księżycowem srebrze,
czołem na mlecznej drogi wsparta żebrze,
w czarnych błękitów bezdennej topieli

błyszczy, jak smutnej ziemi duch anieli
z tęsknót i marzeń i z łez i księżyca,
na gwiazdy w ciszy zwracający lica.

II.

I myślę wtenczas, że ten lśniący w ciszy
wodotrysk lodów, co się w błękit spiętrza,
to jest westchnienie tajemnego wnętrza
ziemi, — pokoju hymn, co w okrąg dyszy,

sen jej dziewiczy wśród kwietnych haszyszy,
myśl jej najcichsza, najczystsza, najświętsza
i jej modlitwa Bogu najgorętsza,
którą On, Stwórca, na niebiesiech słyszy.

Oto — myślałem — są godziny przecie,
gdy klątw, walk, bluźnierstw echo głuchnie w świecie,
milkną bezczelni, boleśni i podli,

a ziemia w ciszy ogromnej się modli,
w niebo ramiony wzniesiona białemi,
— i szedłem z blizka widzieć duszę ziemi.

III.

A szedłem pewny, że skrzydła anioła
śnieżne pod stopy ten duch mi położy
i wieść mię będzie w blaskach złotej zorzy
myśli nieścigłej drogą i sokoła,

wyżej i wyżej — ponad skalne czoła,
aż tam, gdzie błękit się jasny otworzy
i z za błękitów duch powieje boży,
co słucha ziemi, gdy do niego woła.

Bo tak myślałem, że szczyt każdy będzie,
jak ramion w niebo wzniesionych orędzie
i że tam zorza wieczorna się żarzy,

jak blask na Świętych zachwyconej twarzy,
którzy o ziemskim zapomnieli boju,
w Bogu myślami tonąc i w pokoju.

IV.

Poszedłem. Słońce było na lazurze,
a śnieg podemną. Kamień, gruz i czarne
gardła przepaści, rykiem kaskad gwarne,
zbrojne w kły lodu ostre, lśniące, duże...

A jeszcze wyżej — tam pod słońcem, w górze:
światów strzaskanych zwalisko cmentarne,
huragan lodów, — gromami ciężarne
w kamień zaklęte rozszalałe burze!

Dęba stające iglice i szczyty,
jak zbuntowane cheruby, w błękity
skacząc, od wieków poszarpane sterczą

z grozą straszliwą jakąś i bluźnierczą,
zastygłe w szturmie — zda się — głosem Boga,
który pokonał i w głaz zmienił wroga!

V.

A ponad wszystkiem — jeden szczyt olbrzymi!
Wsparł się na łokciach, podniósł łeb nad chmurę
i szklistem okiem lodów patrzy w górę,
a mgła z pod skrzel mu srebrnołuskich dymi...

Słońce już zgasło. — Strach i groza szły mi
w duszę. — Szczyt w krwawą ubrał się purpurę,
potem fjoletu wziął barwy ponure:
trup — jeszcze groził kłami straszliwymi.

I choć noc spadła, jeszcze kły te długo
śród gwiazd się krwawą czerwieniły smugą,
a gdy je włosem z krwi otarły cienie,

wpadł wichr w szczeliny — i głuche warczenie
wiatru szło z paszczy pociemniałej skały
w niebo, gdzie księżyc jawił się struchlały...

BALTHAZAR.

1896.

I.

Przeżyłem wszystko — i wszelkie tortury
cierpieć musiałem. Ja, król niebosiężny,
patrzeć musiałem, jak mój duch potężny
słabnął, z królewskiej odarty purpury

po stopniach tronu zsuwał się — i z góry
spadł, jak meteor gasnąc błędno-krężny.
I oto w pyle leżę niedołężny,
i szydzą ze mnie stolic mych marmury,

i szydzi ze mnie każda garstka błota! —
wszystko, com deptał, dzisiaj mi urąga:
i płaszcz królewski i korona złota —

i lud, co wczoraj zmiatał proch przedemną,
zuchwale dzisiaj rękę na mnie ściąga,
bom dzisiaj słaby! — O! jak strasznie ciemno!

II.

Pomnę — siedziałem wspaniały, jak Ares,
a stół się zginał pod zastawą szczodrą
z świątyń Jehowy. Wsparta o me biodro
naprzemian puhar i lubieżny kares

podaje dziewka — a wielka Istares
chucią zapala jej źrenicę modrą — — —
Wtem łoskot! — mury rozpękną się, podrą,
i słowa z ognia: *Mane, Tekel, Fares!!*

Blady-m się zerwał i szczękły mi zęby:
zląkłem się patrząc, jak się drą sufity,
walą kolumny i rozchodzą zręby...!

Chciałem się tronem bronić od tej groźby,
lecz tron mój ogniem był, jak stos, owity —,
poznałem: nadszedł dzień żniwa i kośby!

III.

I oto strącon z tronu i z podnóża
jego, ja, niegdyś tak wielki i dumny,
jak pies uległem pomiędzy kolumny,
strzegące rzędem pałaców podwórza.

I wiem, że była jakaś straszna burza,
żem z tronu mego wyrzucon, jak z trumny,
i trup już, — pełzam, jak zwierz nierozumny,
a pierś ma w piasek i w błoto się wnurza.

Z zamku dochodzą mię głosy biesiady:
tam nowy król już włada na mym stolcu!
Słyszę okrzyki i trują mię jady

rozpaczy, bólu, bezsilnej zawiści — —
Ha! któż dziś wspomni o nędzarzu, golcu,
drżącym wśród słomy i jesiennych liści!

IV.

Lecz biada! przyjdzie godzina odwetu
i duch zesłabły znów w potęgę wzrośnie,
wznosi się kora na odartej sośnie
i ciało nagość pokryje szkieletu!

Drżyjcie! — bo wstanę, jak ostrze sztyletu
posokę toczyć, mścić się bezlitośnie,
gnieść znów i bluźnić bezczelnie a sprośnie
i szaleć znowu wśród sług mych poczetu!

Grzech mój największy, żem doznał bojaźni
i padłem na twarz i stałem się słaby:
za to jam skaran w tej poniżeń kaźni,

za tom wycierpiał szyderstwa i śmiechy!
Lecz oto wstaję, — na twarz! na twarz, raby! —
ja król! zaczynam znów rządy i — grzechy!!

LUCYFER.

1896—1898.

1.

Ponad niebieskie cherubinów chóry
dwie przed obliczem wzniosły się Jehowy
nad inne wyższe archanielskie głowy,
jako dwa słońca świecące w lazury.

Pierwszy archanioł wzniesiony do góry,
patrząc na gwiezdny ten pył wszechświatowy
z nicości Boga wywołany słowy,
na tęcze mlecznych dróg i mgławic chmury,

blaskiem świadczące o Stwórcy potędze:
uczuł, że tylko jest wyrazem siły,
co słońca wznieca i ziem stawia bryły,

że barwą tylko jest w tęczowej wstędze,
co Przedwiecznego ręką lśni utkana —
i na twarz upadł i uwielbił Pana.

II.

Archanioł drugi, nosiciel światłości,
któremu żadna rzecz nie była skryta,
spostrzegł, że z łona bożego wykwita
jako odwiecznej wynik konieczności;

że od początku śród bożych wnętrzności
śpiąc, oczekiwał, aż chwila zaświta,
gdy o śpiącego Stworzyciel zapyta,
z łona wyrzuci i wydzieli z kości;

że go Wszechmocny musiał wreszcie stworzyć
i jak dźwięk jeden rzucić w tę harmonię,
którą wszechświatów rozbrzmiewają tonie,

lecz dźwięk najwyższy — i nie chciał się korzyć
przed Bogiem, czując, że i on jest mocą,
którą się światy rodzą i druzgocą.

III.

Anioł pokorny padł przed boże stopy
i wołał: Gdzież jest, kto się z Panem zmierzy?! —
a dumny Anioł w promiennej odzieży
patrzył za światów stworzonych okopy...

I szły mu z oczu jasnych świateł snopy,
a pokąd jeno ich blask się rozszerzy,
wskrzesa świadomość: śród stworzeń rubieży
wznoszą się czoła z pyłu w niebios stropy.

I zląkł się Władca, patrząc na te światy,
co promienistem spojrzeniem Anioła
ze snu zbudzone, podnosiły czoła

i rozkwitając, jako z pączka kwiaty,
czuły, że moce mają niezależne
i mogą z Bogiem w drogi iść rozbieżne.

IV.

Zląkł się Pan świata i wyrzekł do siebie:
Cóżem uczynił? Oto z mego łona
wyszedł duch jasny, moc uświadomiona, —
jakoż mi teraz królować na niebie?

Jeśli zawczasu złego nie wytrzebię,
to fala światów z osi swych ruszona
pójdzie z tym duchem, — może mnie pokona?
może mą władzę w gruzach słońc pogrzebie?

Nie ten światłości, ale ten pokory
anioł nad światem niech skrzydła rozpostrze,
a wtedy może woli mojej ostrze

rządzić jak dotąd powolnemi twory!
Tamten by światy w wieczny bunt popychał — —
nie! nie Lucyfer wznieść się ma, lecz Michał!

V.

I wezwał Stwórca swe anielskie roty
nieprzeliczone, jako piaski morza...
Stanął tłum duchów, a ponad nim zorza
lśniła i jasne skróś lazurów groty.

Poznał Jehowa, że ten blask, co złoty
pali się w okrąg i idzie w przestworza,
to nie jest Jego święta jasność boża,
ni blask pokory, ani światło cnoty!

Przed nim, wzniesiona ponad duchów chmurę
płonęła dumna postać Cherubina,
choć w krąg zastępów rój się kornie zgina.

Skłoń się! — rzekł Stwórca. Anioł patrzył w górę.
Bóg zaś: Ty nie drżysz, gdy Ja, Władca, wołam? —
i do Michała: Ugnij go, lub — połam!

VI.

I wnet Archanioł u stóp bożych zgięty
na rozkaz Pana powstał i z Aniołem,
co miał światłości wieniec ponad czołem,
poszedł w bój. Światów wstrząsły się odmęty.

A czasem Duch ten pokorny i święty
przemagał, cisnąc przeciwnika dołem,
a czasem padał zmiennem walki kołem,
a górę Anioł świateł brał — przeklęty.

I tak się mogły w niebie dwa Cheruby,
a w dole wszystkie wstrzymały się słońca,
czekając z drżeniem strasznej walki końca, —

a o machiny powstrzymanej śruby
wsparł się Jehowa ponury i groźny,
w dwóch zapaśnikach wzrok utkwiwszy mroźny.

VII.

A gdy Lucyfer Michałową dłonią
party się słaniał, szła na światy trwoga
i wszystkie do stóp przypadały Boga,
jako gołębie, gdy je orły gonią.

Wtedy Jehowa z podniesioną skronią
patrzył, a z źrenic szła mu jasność sroga
na trwożne światy, które jego noga
gniotła już, ciężko nad gwiazd wisząc tonią.

Lecz kiedy Michał pada w tył rzucony,
słońca i gwiazdy, ziemie i księżyce
w jedną stopione ogni nawalnicę

prą na Jehowę, który, niezmożony,
wszystkie swe moce natężone w ramię
śle Michałowe i znów wroga łamie.

VIII.

Blask, co uwieńczał skronie Lucyfera,
w przekleństwie Boga ćmi się już i krwawą
łuną maluje światy zwarte ławą,
na których Anioł stopy swe opiera.

A tam — poniżej — noc i pustka szczera,
z której on gwiazdy dźwignął, by kurzawą
słońc prószyć w oczy Tego, czyje prawo
żywe wszechświaty w łańcuchy ubiera, —

straszna, rozwarta, milcząca, cierpliwa,
zdaje się czekać, rychło z słońc potopem
runie w nią Anioł, co pod niebios stropem

pierwszy akt strasznej tragedji rozgrywa,
a upaść musi w tej nierównej walce,
kiedy wszechmocne Bóg nań ściągnie palce.

IX.

Już mocą Boga i Michała mocą
łamany Anioł słania się i pada;
słońca z pod stóp mu, jak spłoszone stada,
w dal uciekają; nad przepaści nocą

zwisł już skrzydłami, które mu druzgocą
gromy; — wtem Michał cios mu straszny zada
Imieniem Boga i na pierś mu siada
i wali w otchłań, gdzie jeszcze migocą

gwiazdy ostatnie, Anioła spojrzeniem
roztlone niegdyś... Zachwiał się obrońca
światów, skrzydłami śmignął między słońca

i jak raniony orzeł pod sklepieniem
niebios, w dół runął. — — A Michał w pokorze
ukląkł i wołał: Tyś jest Panem, Boże!

X.

Nastał porządek! — Znów na drogi mleczne
wróciły słońca wytrącone z biegu
i w niewolniczym przed Stwórcą szeregu
biegły — pokorne, ciche i bezsprzeczne.

A co On zechciał — odtąd się konieczne
zwało; co kazał — dobre. Na otchłani brzegu,
pilnując światów, stały w gzłach ze śniegu
straże Cherubów, miecze obosieczne

dzierżąc i bacząc, zali ten, co polec
wolał, niż zgiąć się, nie wznowi napaści.
Lecz tylko krwawa łuna szła z przepaści

przez cień i głuszę... Więc Stwórca swój stolec
królewski zasiadł i na gwiazdach wsparty
księgi przeznaczeń jął zapełniać karty...

XI.

A każda runa, która się ogniście
na lazurowych kartach księgi kładła —
treścią stuleci była. Jak widziadła
senne, wstawały słońc rozsnute kiście

przed Bogiem, a gdy skinął, jako liście
wiatrem rozwiane, ginęły. I bladła
przyroda, widząc, jak śmierć swoje radła
ostrzyła, odtąd czynna już wieczyście.

Bo tę straszliwą i złowieszczą wstęgę
wplatał Bóg, snując przeznaczenie świata,
między wypadki i wieki i lata,

aż wreszcie skończył i odłożył księgę
ujętą w słowa dwa straszne a bratnie:
Niewola pierwsze, a *Nicość* ostatnie.

Z KSIĘGOZBIOR
B. MANDAT
№ 3.

XII.

W przepaści głucho... Noc i pustka. Jedno
strącony Anioł jak kometa leci,
czasem trup słońca minie i oświeci
krwawo i głębiej grąży się w bezedno.

Nieb już nie widać. Srebrne gwiazdy bledną —,
jeszcze do śnieżnej podobne zamieci,
w kłąb zbite, błyszczą... Sto tysiącoleci
promień ich w cienie, co nigdy nie rzedną,

pędził — aż wreszcie gonitwą znużony
zbłądził i ustał i w ciemności zginął.
Anioł jak burza promień gwiazd wyminął

i spadał w przestwór nocy niezmierzony,
w pustkę, gdzie, w otchłań rzucające dreszcze
porodu *Stań się!* nie dobiegło jeszcze.

XIII.

Sam był! — Jak przestwór ogromny — noc głucha!
Cienie przedwieczne, osowiałe, wzdęte,
bez granic, — bogów łono niepoczęte,
kolebka światów i życia pielucha —

śpią, a nad niemi czasów zawierucha
piaskiem słońc wieje. Przez ćmy gąszcze ścięte
spadał wciąż wolniej, aż skrzydła zwichnięte
ugrzęzły w nocy i wstrzymały ducha

na dnie otchłani. Tu już Bóg nie włada!
Tu wolność, cisza, — tu nikt nie jest panem
nad tym bezmiernym cieniów oceanem,

po którym pływa wszechświatów plejada,
niby łódź drobna. On wyleciał z łodzi
i w nurtach morza krwawe czoło chłodzi.

XIV.

I zwolna cieniów dobroczynnych rzeki
w pierś mu ochłodą spływały, a cisze,
któremi otchłań, wszech-pramacierz, dysze,
słodko szeptały doń: synu! — — Daleki

wszechświat mu w myśli zgasł... Ciężkie powieki
senność mu zwarła, — a noc go kołysze,
pokoju z piersi swej sącząc haszysze...
Zasnął. Nad sennym w dal leciały wieki. — —

A gdy się wreszcie ocknął, przebudzony
snem jakimś świetnym o niebios przepychu
z stuletnich marzeń, w serce mu pocichu

wszedł strach, syn pustki... Sam był. Z górnej strony
gasło dalekie słońce i ostatnie,
jak on zbłąkane, w ćmy schwytane matnię.

XV.

I to światełko, tak blade i marne,
całą wspaniałość nieb mu przypomniało!
Świateł powodzie, Bóg otoczon chwałą
jasnych zastępów, mgławice ciężarne

tysiącem światów, tłumy stworzeń gwarne,
duch, co się wzbijał już nad martwe ciało —,
wszechświat z swem szczęściem i rozkoszą całą
tam! — a tu... cienie zastygłe i czarne — —

Tam jego miejsce! On tam mógł promieniem
rozbudzać twory w coraz wyższe życie
i taką tęczę upleść na błękicie

z świadomych duchów, harmonijnem drżeniem
sprzęgniętych z sobą, błyszczących opalem
swej treści... Jęknął beznadziejnym żalem.

XVI.

Jęk jego głazem stoczył się w przestworze
i bez ech zginął... I taka tęsknota
straszna go zdjęła, że gdzie owa złota
gwiazda konała, ręce wzniósł, a morze

bólu z ust trysło mu głosem: O, Boże!
czemuś mnie skrzywdził?! Czy żem z cielsk i błota
wydźwigał ducha, co się w gwiazdy miota,
a drżeć nie umie w służalczej pokorze?

Tyś chciał pokłonu odemnie? — O, Panie!
wszak jam wnętrzności Twych najczystszą treścią,
jak Ty świadomy, własną świetny cześcią!...

Światom wszechwiedzy Twej niosąc zaranie,
Ciebie bym w piersi swej zhańbił i spodlił,
gdybym się na twarz był rzucał i modlił!

XVII.

Chciałem się modlić do Ciebie, do Ojca,
dzieł Twych świadomych dobrowolną tęczą,
harmonją głosów, co swobodne dźwięczą,
krzem samowiedzy pośród gwiazd ogrojca!

Chciałem, byś nie jak wolności zabójca
zdał się stworzeniom, co stalną obręczą
obcej ściśnięte woli, w strachu jęczą
do nielitosnych praw wpędzone kojca, —

lecz byś był dla nich tem, czemś jest istotnie:
duchem rozlanym w duchów milijonie,
ogniem, co w iskrach niezliczonych płonie!

I Tyś mnie za to strącił tak sromotnie!
za to, żem kroplom rzekł, iż tworzą morze,
że duchom rzekłem, iż są syny boże! — — —

XVIII.

Lecz ja, zhańbiony, starty i przeklęty,
choć odrzucony od Twego oblicza,
mam moc! Twój duch mi jej we mnie użycza
i — syn Twój — jestem tak, jak Tyś jest, święty!

Dobrego chciałem! Ty, czyniąc mi wstręty,
w boskiej mej piersi nie stłumiłeś znicza
swojego ducha, nie wyrwałeś bicza
z rąk mych: świat pędzi już nim raz podcięty!

Tylko — — co cnotą mogło być, Twe chcenie
zrobiło buntem i zbrodnią i grzechem...
Więc walki mojej nieustannem echem

rozbrzmiewać będzie na wieki stworzenie
i żaden tryumf nademną, Przedwieczny
Władco! nie będzie nigdy ostateczny! —

XIX.

Po Twojej stronie niezliczone tłumy
światów i ludzi pójdą w nieskończony
bój — i mieć będziesz posłuszne miljony;
karne ramiona i wierne rozumy;

lecz wszystkie syny potęgi i dumy,
wszystko, co wzrośnie nad motłoch spodlony,
kto chce swobody, kto światła spragniony,
kto w głuche wieków zasłuchany szumy

śni, kto Cię szuka, kto tęskni i tworzy,
pragnie lub gardzi: to moi rycerze!
Ja z nimi w bramy Twych niebios uderzę

i wichrzyć będę ład Twych stworzeń boży,
aż przyznasz kiedyś, że my światem społem
władamy, chociaż Ty górą, ja dołem!

XX.

Skończył i zamilkł — a potęga ducha
wzrosła w nim z dawną siłą. Skrzydła duże
rozwiał nad pustką, jak dwie czarne burze,
wzniósł je, uderzył! Jak gdy zawierucha

padnie na morze, kędy łódka krucha
żagiel swój wzdęła, — tak wszechświaty w górze
zakołysały się kędyś w lazurze
trącone wichrem, co z pod skrzydeł bucha. —

Uderzył znowu i wzniósł się. Straszliwy,
groźny, ogromny, jako noc ponury,
do czarnej, gromem okrwawionej chmury

podobny, płynął — potężny, a mściwy —
w bezmiar przestworza, jak orzeł — wciąż chyżej
słońc coraz bliżej, i wyżej a wyżej — — —

XXI.

Świat już dojrzewał. Stutysięczne ziemie,
siecią słonecznych oplątane włosów,
zieleń okryła i złocistych kłosów
fala, roniąca w glebę bujne siemię.

I już się ludzkie zaroiło plemię,
mącąc powietrze wrzawą setnych głosów,
zbożne, szczęśliwe, a z zawistnych losów
śmierci jedynie dźwigające brzemię.

Było, jak Pan chciał... Aż nagle cheruby,
co straż dzierżyły nad głębin ciemnotą,
drgnęły — i Bóg się poruszył, bo oto —

na złote słońca mrok rzucając gruby,
stamtąd, gdzie postać Anioła świetlana
runęła, wyjrzał straszny cień — Szatana!

DIES IRAE.

1898.

I.

Czas stanął. Śmierć skończyła już dzieło zniszczenia
i otarłszy krew skrzepłą z swej paszczęki wilczej,
nad zgliszczami i gruzem usiadła i milczy —
po raz pierwszy bezczynna od świata stworzenia.

Chmury czarne, nad ziemią zawieszone nizko,
wpół-zgasłego już słońca blask miedziano-rdzawy
oczerwienia brzegami. Wokół trupów ławy,
pustać straszna, bezdrzewna i krwawe bagnisko.

Morza — sine, potworne, uśpione olbrzymy —
odbijają w swej głębi w krew ubrane chmury
i ostatnich zgliszcz wolno pełzające dymy.

Śmierć zwycięska, zdziwiona, że już nic nie żyje,
przestraszona swem dziełem — schowała pazury,
wzniosła w niebo paszczękę i jak szakal wyje.

II.

A wtem nagle okropna błyskawica złota,
jak miecz lśniący, rozcięła na krzyż chmur oponę
i stanęła tak, trwając — a iskry czerwone
szły z niej zwolna: straszliwe gromnice żywota.

I wraz drgnęły posady świata. Głos straszliwy
trąb jakoby tysiąca zmącił martwą głuszę
i — pod niebem poczęty, leciał w zawierusze
ponad morza zastygłe i jałowe niwy.

I z łoskotem się jęła twarda padać skała,
a ziemia się poryła wraz w głębokie skiby,
wyrzygując z wnętrzności dawno zmarłe ciała.

Morze też oddawało swoich gniewów łupy:
rozkołysane wichrem trąb niebieskich, niby
pianę marną miotało — skacząc na brzeg — trupy

III.

A trup każdy zbudzony trąb miedzianych grzmotem
powstawał i leniwie członki swe prostował
i przez gruzy skał, góry leżące na pował,
szedł, gdzie niebo płonęło strasznem krzyża złotem.

Rzeka trupów bezbrzeżna grzmiała! A wciąż świeże
tłumy zewsząd spływały, rosnąc co godzina,
aż ląd się cały pokrył mrowiem. Tak lawina
właśnie z gór lecąc, śniegi w siebie nowe bierze,

aż się zwali w dolinę i pokryje łany
zimnym śmierci całunem... Ostatnie już dreszcze
wstrząsły ziemią — ocean cichnął wyczerpany,

wszystkie kości oddawszy wzburzonemi wały —
i tłum stanął w pochodzie. Wtem światło złowieszcze
krwawiej w krąg się zażegło —, trąby grzmieć przestały.

IV.

I bezdenne milczenie zaległo na ziemi
zrytej czaszek lemieszem. Czerń nieprzeliczona
stała niema, posępna, w łunę zapatrzona,
sina śmiercią i krwawa skrami nieb złotemi.

Wtedy z niebios otchłani i z szkarłatów łuny —
jak słońc miljon świetlista a jak wszechświat duża
postać Boga wybłysła, jak płomienna burza,
w glorji ognia i w skrzepłe ubrana pioruny.

Za nią — w głębi płomiennej otwartego nieba —
archanioły, serafów ćma, cherubów roty,
kwiatów grad, jakich ziemska nie wydała gleba,

harfy, palmy i miecze — bez końca, bez końca —
gwiazd ulewa rzęsista, deszcz motyli złoty,
orgja świateł, błyskawic, — tęcze, zorze, słońca...

V.

Czernią ludzką olśnioną pochyliła trwoga,
jako trzciną wiatr chyli. W martwej, strasznej głuszy
stała drżąca, z śladami przebytych katuszy
życia, przed majestatem swego Sędzi — Boga.

On — na czterech skrzydlatych cherubinach wsparty
skinął dłonią: trąb krótki, grzmiący ryk urwany;
ziemi dreszcz — i znów cisza. Archanioł świetlany
naprzód z mieczem płomiennym wyszedł: Sąd
otwarty!...

Grozą zbledli ci, co się śmierci już nie bali.
I szmer, tysiące lat gdzieś w grobach śpiący na dnie,
zbudzony teraz wzrastał, jak szum morskiej fali,

coraz szerszy, aż tłum, co przed chwilą się korzył,
ryknął nagle, jak morze, gdy nań orkan padnie,
skargą straszną: O, Panie! po coś nas Ty stworzył!?

VI.

Panie! oto w boleściach nas rodziły matki
i płacz pierwszym był głosem naszym na tej ziemi!
Jak pielgrzymi nieszczęścia szliśmy, ślepi, niemi,
ku śmierci, co nas wiodła w mrok wiecznej zagadki!

Lęk i słabość nam dając w złą drogę za stróże,
niewidome-ś nas puścił na kręte manowce —
i wilkami-ś obsaczył nas, bezbronne owce —
i zawiesił nad nami swego gniewu burzę!

Strach był naszej tułaczki towarzyszem wiernym,
a cierniami się stopom naszym słała droga —,
więc błądziliśmy w cierniach i w strachu niezmiernym!

Tyś przepaście skróś ścieżki przed nami otworzył,
a gdy drżąca spełzнęła ku otchłani noga,
na upadłe Tyś w gromach się miotał i srożył!

VII.

Ty dziękować nam każesz za łaskę żywota,
co nazywa się: walka, upadek, cierpienie?
Zaliśmy Cię prosili o to marne tchnienie,
które grobu brutalnie w nas zdławiły wrota?

Dzisiaj stajem przed Tobą ze strasznym stygmatem,
który życie, Twój dar, nam wypiekło na czole!
Trupy czarne i kości plugawe tu w dole
stoim, ale z olbrzymim bólu majestatem!

Bośmy wszystkie gorycze z Twojego kielicha
pili, dzieci nieszczęścia, syny prochu, cieni,
które dla swej igraszki stworzyła Twa pycha!

Oto moc Twa nad nami i niebieskie bramy,
lecz my, bólem zuchwali, rozpaczą szaleni
przeciw Tobie bunt wznosim — na sąd Cię wzywamy!

VIII.

Żeś nas stworzył, a stworzył słabe i ułomne;
żeś nam kazał żyć w strachu i żyć w poniewierce;
żeś ból stworzył, a dał nam współczujące serce
i brzemię ponad siły dla barków ogromne;

żeś nam szczęścia pragnienie w smętne włożył dusze,
a rozkosz każdą przeklął, uciechy zakazał;
żeś w nas grzechu dopuścił, żądzami nas zmazał,
a sumienie nam dając, wydał na katusze:

z cierpień naszych, łez naszych i bólów i trwogi,
z chuci, błędów, upadków i grzechów i zbrodni,
z nieświadomości, która pętała nam nogi,

z życia, które nam było i ciemne i krwawe,
z wieków całych, lat długich, miesięcy, tygodni,
dni i godzin i sekund — Panie! zdaj nam sprawę!

IX.

Huragan trupów szalał, wyjąc. Zbladły w niebie
grozą zdjęte anioły i cheruby złote,
które miecze dzierżyły i wagi, by cnotę
rzadką kłaść na nie, ceniąc, a karać w potrzebie.

Stwórca gniewem zapłonął. Wzniósł wszechwładne
ramię
ponad tłuszczą bluźnierczą, jak grom w niebios stropy,
— w koło skrzących błyskawic rozprysły się snopy—:
uderzy, na proch zetrze, unicestwi, złamie...

A wtem z tłumu skazanych postać Chrysta biała
wyszła cicho w skrwawionej cierniowej koronie —,
boleść wieków niezmierna w jej obliczu pała,

w oczach niewysłowioną znać pokoleń mękę —,
idzie zwolna i ciężki krzyż przy Ojca tronie
składa z niemym wyrzutem.
Bóg opuścił rękę.

Z TALMUDU.

1898.

OGNISTA RZEKA.

W bezdeń czarną rzucając fal płomienną burzę,
na krańcach nieba lawy strugą rozhukaną
ognista rzeka płynie. Fale jej co rano
okwitają jak ogród w mgły złocistej róże.

Z mgieł anioły się rodzą. Chmurą nieprzejrzaną
w bieli szat, w złocie włosów wznoszą się ku górze
i zwisnąwszy nad rzeką w krwawych łun purpurze,
chwałę Stwórcy olbrzymią sławią — jak kazano.

Bóg słucha. A gdy minie dzień, podnosi w górę
dłoń i topi w deszcz śpiewną serafinów chmurę.
»Życia! Życia!« wołają w fale dżdżąc ogniowe, —

»Życia! śpiewać Ci będziem! jeszcze dzień! godzinę!«
Darmo. Muszą mrzeć! »Życia!« Padają w głębinę...
— Rano z nurtów powstaną znów zastępy nowe...

ŹLI I DOBRZY.

W wiekach onych najpierwszych, kiedy raju brama
z grzmotem gromu zapadła za plemieniem człeczem
w świat wygnanem Anioła płomienistym mieczem:
dwa obozy powstały śród synów Adama.

Jedni mówili: Pycha — to jedyna plama;
pokorą znów zawładniem rajskich wód dorzeczem!
Drudzy zasię: Przed gorzkim losem nie ucieczem,
jeśli szczęścia dłoń nasza nie zdobędzie sama! —

Pierwsi, strzegąc się cudzej krzywdy, jak jagnięta
pod nóż głowy dawali, czekając w pokorze
łaski, — drudzy praw wszystkich potargawszy pęta

szli, niezłomność w swem oku, w ręku mając noże...
A Bóg patrzył z błękitu i wahał się długo,
nim za pierwszą gromadą stanął, nie za drugą.

PINCHOS BEN JAHIR.

Dążył prorok od strony, gdzie słońce zachodzi,
do krainy Gilead za rozkazem Boga,
by rzec grzesznym, iż kara czeka u ich proga,
i obwieszczać pokutę i starcom i młodzi...

W poprzek strugi Jordanu wypadła mu droga.
Patrzy prorok: w zwełnionej rozlana powodzi
rzeka huczy, a nigdzie kładki ani łodzi, —
a czyż falom się oprze starca drżąca noga?

Rzecze tedy, nad mętny nurt podnosząc dłonie:
— Abym suchą mógł stopą przebyć twoje tonie,
w Imię Boga, którego wolę w sobie noszę,

ustąp, rzeko i cofnij wody swego łoża! —
Rzeka na to: — Mnie tędy pchnęła wola boża
nieco wcześniej niż ciebie — więc się rozzuj, proszę.

RABI ELEAZAR.

Rabi umierał. Sokratesa wzorem
żonę i dzieci od łoża boleści
odprawił, niechcąc, by go płacz niewieści
raził, natrętnie w uchu brzmiąc mu chorem

Sam za to płakał. Przyjaciel jedyny,
wierny towarzysz u chorego głowy
siedział sam jeden, milczący, surowy
i słuchał łkania. — — Mijały godziny...

O co łkasz? — spytał wreszcie, — żal ci dzieci,
żony, czy życia? — czy słońca, co świeci?
czy ból twe ciało, czy grzech gnębi duszę? —

Mów! może boleść twoja się osłabi,
gdy mi ją wyznasz. — — Nie! zajęczał rabi, —
płaczę, bom piękny, a umierać muszę!

RABI ZAMIËL.

Dni czterdzieści uczony rabi pościł skrycie
i przyzywał na pomoc anielskie potęgi,
by mógł chociaż spamiętać talmudyczne księgi,
nad któremi przepędził próżno całe życie.

I spamiętał je. Nadto — z wielkiej łaski Boga,
wsze poznawszy rozdziały, dodatki, przypisy,
pojął treść ich zawiłą — i jak z pełnej misy,
czerpał wiedzę tajemnic. — I naszła go trwoga

przed mądrości ogromem, którą dobrowolnie
wziął na siebie —, więc pościć chciał zaś dni czterysta,
byle tylko zapomnieć i zabyć do czysta

świętych ksiąg i ich treści, dobytej mozolnie.
Ale Pan Bóg ku prośbie tej nie skłonił ucha,
już z brzemienia nie zwolnił WIEDZĄCEGO ducha.

RABI BEN LAPIDOTH.

»Mistrzu! rzesza przed tobą chyli się w pokorze,
nieprzejrzana, szumiąca jak wezbrane morze,
słowu twemu i dłoni posłuszna, gotowa
iść, gdzie usty jej twemi każe iść Jehowa!

»Wielki Bóg Abrahama, co cię wezwał z puszczy,
gdzieś na czele zuchwałej rozbójniczej tłuszczy
szerzył grabież i mordy — i duszę ci strugą
łask obmywszy, uczynił swoim wiernym sługą,

»byś pełnił wolę Jego, miast zbrodni i brzydot!
O! szczęśliwy!« — Tak mówił uczeń. — Ben Lapidoth
powiódł okiem po ludzkich głów falistym łanie

i rzekł z cicha: I cóżem zyskał na tej zmianie?
Lud mię słuchał i bał się, gdym jak zawierucha
gniótł go, i dzisiaj — tylko boi się i słucha! —

WARSZAWA.

1899.

1.

Huk doróżek. Ulicą płynie bezustanna
rzeka ludzi, pojazdów, koni. Grzmi po bruku,
na zakrętach się łamie, wśród gwaru i huku
kaskadami w uliczki wpada i — zachłanna —

ssie znów z domów i ulic wciąż potoki nowe,
wzrasta, szumi, głów ludzkich pstrą ocieka pianą,
czasem krwią bryźnie, stanie i z siłą wezbraną
toczy znowu przez miasto swe fale stugłowe.

A w koło, jak brzeg stromy, stoją wielkie domy,
a wyżej, ponad dachów wzniesione załomy
kościołów wieże, cerkwi kopuły złociste,

a jeszcze wyżej — niebo spokojne i czyste — —
I tak miasto wygląda, jakby jeszcze żyło,
a nie stuletnią było, otwartą mogiłą...

II.

Poszedłem do Łazienek. Park królewski stary
drzemał w słońcu i ciszy. Na zwierciedle wody
wsparłszy białe, w marmurze wykowane schody,
pałac lśnił przez zielone gęstych drzew konary.

A z drzew na białe barki nimf, na strojne panie,
na przechodniów tłum barwny, gwarny, uśmiechnięty
leciał gęsty liść, żółty, przedwcześnie zwiędnięty
tu — gdzie niegdyś królowie mieli swe mieszkanie...

I tak mi się zdawało, że w tym parku słyszę,
przez gwar rozmów idące i przez nieba ciszę,
łkanie jakieś nieśmiałe, głuche, przytłumione

— z drzew, czy z nieba, czy z ziemi... Tłumy rozbawione:
snadź to drzewa, gdy wiatr je niewidzialny ruszy,
płaczą tak... a bez echa w niewolników duszy?

III.

O, wspomnienia, wspomnienia! o, długie powieści,
których dzieckiem słuchałem, płacząc! O, Warszawo,
z pod uśmiechu mnie zawsze błyskasz twarzą krwawą;
skróś te gwary szczęk słyszę walk i płacz niewieści...

To Krakowskie Przedmieście. Płyną tłumy strojne.
— Czy procesja?... Głos dzwonków, zda się, srebrny
słyszę,
śpiew — urwany, a potem wpadający w ciszę
grzmot wystrzałów, krzyk... Drgnąłem. Nic. Miasto
spokojne.

Idę dalej. W tem — oto przed oczyma memi —
czy to opar krwi duchem wytrysnął z pod ziemi
i skrzepnąwszy w posągu, na płomiennej zorzy

trwa, aż wstanie i zagrzmi i ludy potrwoży?...
Wzniósłem oczy: przedemną stał On, wieszcz, spi-
żowy,
król ostatni, z zachodniem słońcem koło głowy.

IV.

A zdaleka, przez błękit, z Zamkowego placu
Zygmunt Trzeci nań patrzy. Na szczycie kolumny
już przez długie trzy wieki niewzruszony dumny,
twarzą od bezpańskiego odwrócon pałacu,

ponad morze faliste dachów na błękity
wyniesiony marmuru słupem, o krzyż wsparty,
z szablą w ręku odbywa tu królewskie warty...
Za nim w dali katedry poczerniałe szczyty.

W dole wre życie. Wszystko naokół się zmienia:
miasto, ludzie, kraj, chwała, nadzieje, cierpienia;
trzechwiekowa się pod nim przewaliła burza

i krwią nieraz ociekły pomnika podnóża:
— on przy szabli, oparłszy dłoń na znaku Wiary,
duma, jak mu Żółkiewski do nóg przywiódł cary.

V.

Czy to prawda? Istotnież to hetman zwycięski
tam na Kremlu zatykał orłowe sztandary?
Powiedz, powiedz, posągu ty królewski stary,
czy to prawda? Jak wierzyć... po stu latach klęski!

I ty królu...? Gdzie świadki? W Stare Miasto idę
pytać domów, co z wązkich ulic swych widziały
tryumfalne pochody ongi — za dni chwały,
a dziś widzą niewoli pęta i ohydę.

Lecz domy milczą. W kręte wciśnione zaułki
fasady swe strzeliste, dachy i przyczółki
przytulają do siebie, okiem szyb ponurem

patrząc w miasto, co tam się za zwalonym murem
wciąż rozrasta, im obce, błyszczące w oddali —
i na ludzi, co w wielkich domach żyją mali.

VI.

Tłum mię porwał. Płynęła ludu ciżba mnoga
ku Wiśle, gdzie w powietrzu ponad płowe fale
mostu szkielet olbrzymi rozparł się zuchwale
sztab żelaznych żebrami. To na Pragę droga!

I uczułem, że coś się we mnie iść tam wzdraga:
tam pod stopą z pod bruku wytrysnąć gotowa
krew rozlana przez dzikie hordy Suworowa,
niepomszczona — i wołać: Zzuj obuwie! Praga!

A po co lud ten idzie? na jakie obchody?
czy Ojczyzny tam płakać nad brzegami wody
i trącać harfy smutne, na drzewach wiszące,

gdy już mieczów nie zdzierżą jego dłonie drżące?
— Tam muzyka, chorągwie i światła jaskrawe:
do parku Aleksandra lud szedł na zabawę.

VII.

Oczy dłonią zakryłem, bo mi było wstydno
być kamieniem grobowym tam, gdzie nie pamięta
nikt, że pod nim mogiła jest krwawa i święta,
kędy tańczyć — w kajdanach — jest rzeczą ohydną!

Gdzież, pytałem, majestat twego bólu, wdowo,
z którym niegdyś hańbiące nosiłaś powrozy?
gdzie męczeństwa nimb, który blaskiem świętej grozy
czoło twe koronował w upadku, królowo?

Ja tu, pielgrzym, do ciebie szedłem, jak do Mekki,
w twarz nieśmiejąc ci spojrzeć, spuszczałem po-
wieki —
gotów proch twój całować, jak relikwje święte,

mówić cicho, by serce twe — jak dzwon — pęknięte
nie odjękło na głos mój w jaki zgrzyt ogromny:
a ty tańczysz! — O, ludu biedny i niepomny!

VIII.

Szedłem smutny z powrotem i z spuszczoną skronią,
potrącany w ulicznym zamęcie i tłoku,
który przez łzy, co mgłą mi osiadły na oku,
bezcelową się jakąś wydawał pogonią.

Czegóż czekać, gdy wszystko w puch się już rozwiało?
Czyż nie śmieszna nadzieję mieć i wznosić ducha
tam, gdzie nawet nie tryska już krew z pod obucha,
ani cisną kajdany — już wrośnięte w ciało?

Jest-że jeszcze i z takiej śmierci zmartwychwstanie...?
Wtem — jak gdyby odpowiedź na moje pytanie —
ponad tłumem ulicznym, na ganku kościoła:

zgięty pod krzyżem, ale z promieniem u czoła
Chrystus, z ręką wzniesioną, jakby przez Golgotę
szedł już, jak przez próg, w niebo otwarte i złote —
a napis: SURSUM CORDA!

IX.

O! Jerozolimo,
smutnych naszych proroków opłakana łzami,
krwią męczenników naszych zmyta! Dziś cię plami
rezygnacja niewoli, co jest ciężką zimą

wieków ziarnu ludzkiemu: ale z wiosną, z wiosną,
gdy światu pękających lodów huk obwieści
Zmartwychwstanie — zakwitniesz ty, grodzie boleści,
jako sad, co się szatą przystraja radosną!

Bo nie wierzę, by siejba to być miała marna,
co w twą rolę rzucała boleściwe ziarna:
męczenników krwią ziemia pod twym brukiem żyzna

i są wichry w ulicach, co mówią: Ojczyzna!
i jest krzywdy siew żywy, chociaż utajony,
który wschodząc rozsadza skaliste zagony!

WIDZENIA.

1896—1899.

MICHELANGELO.

I.

Dłóto drży w moich ręku i skronie mi płoną,
gdy przed oczyma, które — w głąb zwrócone —
mrużę,
anioł kształtu się jawi w nietkniętym marmurze,
a Bóg Stworzyciel ogniem rozsadza mi łono.

I grzmię w głaz młotem, aby pod jego oponą
śpiącego ducha zbudzić i przez ciosów burzę
wyrwać martwej kamienia zimnego naturze
to, co w niej jest boskiego: formę objawioną.

Lecz zaledwie z okruchów oczyszczona, biała
twarz anioła mi z głazu błyśnie, już się nowe
jawią postacie oczom moim posągowe,

już inne duchy proszą kamiennego ciała...
I zawsze serce żądzą tworzenia trawione
kocha z dzieci najwięcej to — nienarodzone.

II.

Wiek pracy minął cały... Wulkan w piersi miałem,
na oczach — wielkoludów ciągnących łańcuchem
z orkanem wieków, w sercu na głos świata głuchem
jedno wielkie pragnienie, to, co było — szałem.

Wiek pracy minął... Darmo pod myśli nawałem
gnąc się, tytanym kował, darmo pod obuchem
moim głazy bezkształtne stawały się duchem,
barwy w ręku mych — gromem, słowa w uśmiech —
ciałem:

sen snem pozostał! Zimne te marmurów bryły,
te ogromne, do głazów wpół przykute duchy:
to apokaliptycznych widzeń mych okruchy,

szczątki dzieła, co przeszło me człowiecze siły...
Nie zakląć bóstwa! Dłótem już nie władną dłonie,
a wulkan w piersi mojej tak jak płonął — płonie.

KRÓL SALOMON.

Z puharem w dłoni usiadł syn Dawida
i rzecze: Przesyt jest w rozkoszy na dnie,
wszelkie rąk ludzkich dzieło w proch upadnie,
a mądrość? — na cóż mądrość mi się przyda?

Uśmiech szyderczy rozchylił mu wargi:
Człowiek, jak bydlę, rodzi się i zdycha, —
kłamstwem, obłudą cała jego pycha,
i próżne wszelkie trudy, modły, skargi!

Oto rozkoszy syt jestem i jadła,
sok winnych jagód weselił mi serce,
stopa wzorzyste deptała kobierce,

a mądrość wiekom sławy blask odkradła —
i cóż mam?! Życie kocha tylko słaby — —
— W złocie ku niemu szła królowa z Saby. —

SPINOZA.

Ciemno było koło mnie; w jakąś toń bezdenną
zapadałem, — a w górze ponad toni brzegiem
stała mara będąca błękitem i śniegiem,
z krzyżem w ręku i z twarzą anielską a senną...

W toń wpadłem — — a widmo z zorzą ócz promienną
snem stawało się, nikło, — a za niem szeregiem
inne mary tęczowe gdzieś szalonym biegiem
rwane odlatywały w mgieł krainę zmienną. —

Coraz ciemniej i zimniej i głusza koło mnie,
pusto, nicość a rozpacz! Wtem drgnąłem ogromnie:
ktoś mię zbawia! ktoś kładzie w głos zwątpieniom protest!

Z jednej skały wykuty, olbrzymi i święty
mędrzec kończy pieśń jakąś, czy pacierz zaczęty:
— *Sine Deo nil esse nec concipi potest!* — —

HUSSARZE.

Szły te mary z przeszłości wywołane duchem,
jak żórawie płynące w mglistym nieboskłonie:
jadą cali w żelezie i w żelezie konie, —
zbrojni kopją, koncerzem, tarczą i obuchem.

Na ramionach ich skrzydła szeleszczą z podmuchem
wiatru, — w hełmy stalowe zakute ich skronie, —
na sztandarze przed nimi imię Marji płonie —
»Boga-Rodzico...« płynie w dal po polu głuchem.

Tentent kopyt, — schylają się na końskie karki;
kopij las się pochylił: Turka czy Tatara
lecą roznieść... W żelazie pierś, a w skrzydłach
barki — —

»Święta Boga-Rodzico!...« Ziemia drży i tętni,
grzmi żelazo — — »Niech żyje ojczyzna i wiara!«
Lecą, pędzą, jak burza — czyści, wielcy, smętni — —

KUNAKSA.

Naprzód! — powiedział Cyrus i Klearch powtórzył:
Naprzód! — Ruszyli. Ziemia drgnęła, szczękły
zbroje —
i szli na barbarzyńskie nieprzejrzane roje
z powagą lwów. Kurzawą błękit się zachmurzył.

Szli jak bogowie wojny, straszliwi, spokojni,
dumni, — garść bohaterów sto mil od swej ziemi, —
ostre miecze rękoma ściskając silnemi,
za murem tarcz, pocisków piorunami zbrojni.

Tam przed nimi król wielki, co nad Azją włada,
wnuk najezdcy Hellady... Miecze wznoszą w górę:
»Zews zbawiciel!« — Szczęk, zamęt — jak grom
wpadli w chmurę.

I szli, pędząc przed sobą barbarzyńców stada, —
a gdy miecze z posoki otarli wieczorem,
cała Azja ich stopom leżała otworem...

RACŁAWICE.

I.

»Naprzód! W ogień! Za wiarę! Za Ojczyznę waszą!«
— Krzyk ogromny się podniósł; zachrzęściały kosy:
»Dalej chłopy na wroga!« Huf siermiężny, bosy
ruszył ławą. — armatnie kule go nie straszą.

»O! pod Twoją obronę!... Bądź ucieczką naszą,
Marjo święta!«... Huk armat głuszy rannych głosy;
krew a trupy — — Hej! naprzód przez tych trupów
stosy!
Idą, lecą — i lonty już czapkami gaszą!

I dział paszcze umilkły. Bosy huf siermiężny
zdobył szańce rękoma od roli i pługa —
wiarą w ogień wiedziony i nadzieją mężny...

Potem klękli śród trupów; cisza była długa,
aż hymn w niebo uderzył — zwycięski, potężny.
— A wódz patrzył — i łez mu popłynęła struga...

II.

— Na racławickiem krwawem byłem polu...
Jasnem słońcem oblane stoją łyse wzgórza,
wielką ciszą pijany gaj u ich podnóża, —
wśród pszennych łanów krwawią się gwiazdki kąkolu.

Więc to tutaj?... Na wzgórzach tych i w tem rozdolu?...
Więc tędy przeszła owa chłopów polskich burza,
tu huk armat, krew? jęki? — Świat się w słońcu nurza,
cisza dokoła... Serce zadrgało mi z bolu.

Dwie mogiły przedemną pośród łanu żyta —
tak podobne, jakgdyby nie wrogów, lecz braci
kryły w sobie; kwiat na nich taki sam rozkwita

i ci sami muzycy gnieżdżą się skrzydlaci...
Więc nadarmo krew tutaj czerwona płynęła?
Cicho, słyszę... wiatr? echo? — »Jeszcze nie zginęła«...

FRYDERYK WILHELM IV.

I.

Król do ludu:

»Ja wasz książę! i nigdy w życiu nie pozwolę,
aby stanął papieru zapisany świstek
między mną a mym ludem! Jam poświęcon wszystek:
z woli bożej król! — Naród tam u nóg mych, w dole!

»Ja sam rządzę i nigdy o poddanych wolę
nie spytam, — nie dopuszczę, by jakiś tam chłystek
dla mnie prawa stanowił, rwąc wawrzynu listek,
który, jak pomazaniec boży, mam na czole!

»Nie potrzebne mi zgoła martwe konstytucje!
— ja sam łączę lud z Bogiem, niby mostu przęsła,
a choć fala piekielna usiłuje stłuc je,

nie upadną! Sam Bóg im użyczy obrony!«
— Tak mówił, a z zachodu ziemia się już trzęsła
i jak rumak zrzucała z grzbietu swego — trony.

II.

Lud do króla:

»Racz-że, królu, zejść do nas! prosimy cię pięknie,
Patrz! na ziemi przed tobą te skrwawione trupy,
to są twoje ofiary, twej przemocy łupy!
Lud przebaczy, jeżeli król nad niemi klęknie!

»Mów! wszak serce drży w królu, kiedy dzwon zajęknie,
zadrga ziemia i w niebo strzelą ognia słupy,
gardła ulic zawali gruz i cegieł kupy,
a młot krzepko o bagnet stępiony zaszczęknie?

»A wiesz ty, jak krew w żyłach gra na barykadzie,
gdy trup gęsty za wolność w około się kładzie,
i jak serce się tłucze, gdy ulice ciemne

ogniem zioną, jak smoki straszne i tajemne?
Stamtąd idziem! — z trupami, ale nie z żałobą!
Królu! czapka precz z głowy! wolny lud przed tobą!«

FRYDERYK CHOPIN.

Był lutnią, w której dusza ludu śpiewa.
Nie mówił: naród! — ale był nim cały;
w nim jego burze złotowłose grzmiały,
łkał smutek stepów, modliły się drzewa.

A że był zrodzon już na grobie chwały,
więc nie tryumfu pieśń szerokozewa,
lecz ból, ból morzem z strun się jego zlewa,
krwawy, gdy blizko — w oddalach już biały...

I jeśli jeno kiedy w dniach ucisku
naród, co niegdyś był szalonym królem,
zgnieciony żalem, obłąkany bólem

płomię swe w jednem zestrzelił ognisku
i jak człek jeden westchnął gdzieś ze spodu
duszy — to On był westchnieniem narodu!

NERO.

Chociaż taki krwiożerczy i taki ohydny
jesteś, Romy wszechwładco, panie wschodniej tjary,
puszcz Germanji, Iberji i pustyń Sahary,
jasnej Grecji tyranie złośliwy i szydny;

choć tak chciwie chłepcący krew ze złotej czary,
pochlebstw żądny i ofiar, i w zbrodniach bezwstydny;
choć przy żywych pochodniach w krwawym blasku
widny
i na miasta lejący ogniste pożary:

tyś mi wielki, histrjonie, żeś był piękny w zbrodni,
żeś dźwięczne ody składał śród ludzkich pochodni,
żeś budował posągi *caesari et deo,*

żeś przy miasta pożarze śpiewał pieśń Homera,
a gdyś widział, że śmierć już w ciemność cię zabiera,
toś się sławił: *O qualis artifex pereo!*

P. VERLAINE.

SMĘTEK.

Jam Cesarstwo, co patrząc — w okresie upadku —
jak tam ciągną ogromni barbarzyńcy bladzi,
akrostychy układa marne i styl gładzi,
gdzie tęsknota słońc tańczy w słów złocistym spadku.

Dusza sama i chora z nudy i przesytu...
Gdzieś tam pono wrą krwawe długotrwałe boje —
o! nie móc, sił nie mając na najlżejsze znoje,
o! nie chcieć tam rozkwiecić trochę tego bytu...

O! nie chcieć tam, o! nie móc umrzeć bodaj trochę!
Czara próżna! Bathyllu, gdzież twe śmiechy płoche?
Czara próżna, — po uczcie. Nic do powiedzenia.

Jeno — wiersz trochę ckliwy, co się w popiół zmienia;
jeno — rab trochę krnąbrny, co nie patrzy służby;
jeno — nuda, z nieznanej skądś wylęgła tużby...

J. M. HEREDIA.

KLEOPATRA.

W słońcu, które rozżarza przepych nieb bezbrzeżny,
trójwiosłowiec srebrzysty bieli czarne tonie;
z smugą pian płyną za nim kadzidlane wonie,
fletów dźwięki i szelest jedwabiu lubieżny.

Na lśniącym przodzie, gdzie się stroszy łeb jastrzębia,
Kleopatra, królewskie rzuciwszy namioty,
w świetnej zorzy zachodu stoi, niby złoty
wielki ptak, co za łupem w przestrzeń wzrok zagłębia.

Oto Tars, gdzie jej czeka wojownik niezbrojny:
śniada Lagida w eter wyciąga upojny
wonne ręce, po których szkarłat różem świeci.

Lecz jej oko nie widzi, że — na znak jej doli —
poza nią, w toń posępną listki róż, powoli
strząsają Śmierć i Żądza, dwoje boskich dzieci.

J. RICHEPIN.

FLORENTCZYK.

Malarz, rzeźbiarz, poeta — gonię bez wytchnienia
za pięknością, co wiecznie z przed ócz mych ucieka;
dłoń ma w rytmy perliste blaski jej obleka,
w barwy, marmur, by zakląć niknąca śród cienia.

Świat jest szkicem, a dłoń ma w obraz go przemienia!
Wszak ja tworzę te bogi widzialne z daleka
tu na ziemi i niemal aż w niebie, dla człeka,
choć istnieją jedynie w mych włościach marzenia!

Ja to sławę ich śpiewam i rzeźbię ich twarze!
Dość mi przestać, a świat się chaosem okaże
bez harmonji, gdzie myśl się w żaden kształt nie wciela.

Nie chcę jednak takiego sprowadzać rozruchu:
lubię tworzyć te byty, którym przeczę w duchu,
gdyż lud czcząc je, uwielbia mnie, ich stworzyciela.

OKRĘT BEZSTERNY.

1899.

I.

Długo myśl ludzka szła, jak błędna nawa,
po morzu zjawisk, z fal na nowe fale
wiatrem rzucana, w ciszy smutna, w szale
burz słaniająca się, od błysków krwawa.

A często prując zmienne wód opale,
dążyła w stronę, kędy słońce wstawa,
lecz zawracała z drogi, drżąc, że dawa
swe lotne skrzydła innych wiatrów strzale.

Czasem po drodze prawdy jej błyskały,
jakby dalekie, słoneczne wybrzeża;
ona — bezsterna — patrząc w nie, uderza

piersią o twarde, w wodzie skryte skały
i znów strącona z drogi, dalej pędzi
senna i z raną na piersi łabędziej.

II.

Różni wodzowie stawali u styru:
jedni wierzący i na sercu prości,
pełni nadziei, że w imię miłości
wywiodą nawę z obłędnego wiru, —

i inni, którzy szukali pewności
i drogi w gwiezdnych kompasach szafiru;
ale z zenitu gwiazdy do nadiru
spadały, krążąc nad łodzią ludzkości.

I żadna wiara nie była dość silna —
i żadna pewność nie była dość pewna, —
aż w końcu każdy, gdy załoga gniewna

pytała, gdzie jest droga nieomylna,
mówił w rozpaczy, jak człowiek, co ginie:
— Nie wiem, czy płynę ja, czy wszystko płynie...

III.

Wreszcie, gdy chaos wzmógł się na okręcie,
wszystkie się zdania zmieszały i cele,
gdy już rozwianych chmur niestałe biele
za drogowskazy chciano brać w zamęcie:

wód zakipiały ruchome topiele,
korab, jak tancerz, który się na pięcie
zwinie i wstrzyma, stanął na odmęcie,
choć fala biła w jego srebrne skrzele.

Oto z pokładu w otchłanie powodzi,
jakby kotwica, która morskie tonie
wierci i na dnie grzęznąc w opok łonie,

oparcie pewne daje kruchej łodzi,
upadły ciężkie słowa Kartezjusza:
— MYŚLĘ, WIĘC JESTEM. — Tak mówiła
Dusza.

IV.

Tak okręt Myśli, błędny lecz skrzydlaty,
oparcie w własnym swym znalazłszy bycie,
bieg gwiazd poznawać jął na nieb błękicie
i prądy głębne i skał wrogich czaty.

A wkoło siebie dostrzegł wszędzie życie,
i zapachniały mu z wybrzeża kwiaty,
dalekich lądów dziwne błysły światy, —
a więc na światów wypłynął zdobycie...

Rozwinął żagle, żagle swoje lotne
i wichrom kazał dąć w te białe skrzydła,
by senne dali tęczowych mamidła

uczynić jawą... I tak w niepowrotne
a nieskończone drogi duszy płynie,
ślad swój srebrzysty znacząc na głębinie.

DOLCE STIL NUOVO.

1900—1904.

SONET WSTĘPNY.

Więc oto poczną odmierzać wyrazy,
fantazję zasię, tanecznicę dumną,
zawściągłszy, myśli poślę w świat kolumną
zwartą, a dbając, by były bez skazy.

Podnoszę do ust mędrców czarę, szumną
wytrawnem winem, co rodzi ekstazy
najczystsze, oczom rzucając obrazy
Tajni — kaskadą perlące się tłumną.

Tak niegdyś, kiedy już pienia minstrela
nie brzmiały dawną siłą ni szczerością,
mistrze, jałową pogardzając czczością,

szli czerpać z źródeł, skąd Życie wystrzela —
i w służbę Myśli zaprzedając Słowo,
nowy strój zwali: *DOLCE STIL NUOVO.*

CIENIOM ADAMA ASNYKA.

Ty — ponad głębią schylony zawrotną,
wpatrzony w otchłań, co Ci się powleka
w bezmiar rzuconem odbiciem Człowieka
i nikłej piany igraszką stokrotną;

Ty, co się skarżysz, że wiecznie ucieka
obraz przez Maję roztoczony psotną —
i nim go myślą można zgłębić lotną,
już obraz niknie i spada powieka:

za Twym przykładem, na prabytu zrębie
wsparty, poglądam w otchłanne bezedno, —
ale ja czuję, żem z tem morzem jedno,

że mnie, jak falę wyrzuciły głębie
i tkwię w nich duszą, a więc patrzyć muszę
nie okiem w pianę, ale w toń — przez duszę.

MYŚL JEST WSZYSTKIEM...

I.

Myśl jest wszystkiem na świecie i myśl jedna stwarza!
Myśl tę ziemię z przedwiecznej otchłani chaosu
wydobyła, jak tęczę harmonijną głosu
z strun zmieszanych dobywa święta dłoń pieśniarza.

Świat, jak obraz niknący, wciąż się przeobraża —
i podobny do kwiatów pełnego pokosu:
wczoraj żyły, dziś padły od ostrego ciosu —
a już nowe wzrastają z pod stopy kosiarza!

Feniks wieczny! z popiołów wstaje i ze stosu,
jak z kolebki — a wąż się pod nim w pyle tarza,
goniąc zębem swój ogon: czasu znak i losu!

Obok lampa wieczysta drga u stóp ołtarza,
a na głębi bezdennej tajny kwiat lotosu
zamknął łono, woń tylko śle i świat rozmarza...

II.

Myśl jest wszystkiem! myśl boża w człeku światem
władа!
Kiedy myśl ta świadomie wieńcem snów się winie,
jak Bóg stwarza! i ducha kruchej daje glinie,
głoski bytu rozsnute w wieczną pieśń układa.

A gdy na świat się rzuci zimna, gniewem blada,
świat się lęka, rozprzęga i w chaosie ginie, —
a na światów zburzonych bezbarwnej ruinie
ona siebie poznaje, staje i — nie pada.

Ta jest boża potęga w każdym ziemi synie;
ona przez sen zeń błyska i w marzeniach gada,
ona w księgach i pieśniach i w rąk twardym czynie

jak Duch święty się jawi, — a kto moc jej zbada,
ten jest panem — przed wiekiem, na wieczność i ninie;
skrzydła jego: *STWARZANIE*, i drugie: *ZAGŁADA!*

ROZMOWA Z DUSZĄ.

O, Duszo moja! chcę mówić do ciebie,
czy ty mnie słyszysz? — »Słyszę zawsze, dziecię«.
— Gdzie jesteś, Duszo? — »W tobie i na świecie
i zewnątrz świata, wszędzie. Czasem w niebie«.

— A co ty robisz? Myślisz? cierpisz? kochasz?
»Ani ja myślę, ni czuję. Ja tworzę«.
— Tworzysz? co? — »Wszystko. Prawd burzliwe morze,
po którem płynąc ty — ze strachu szlochasz«.

— Wiesz zatem wszystko? — »Jeno, co jest we mnie«.
— Są więc dla ciebie niedostępne ciemnie?
»Nie, bo ja wszystko objąć sobą mogę«.

— Aż po kres Bytu? — »Poza kres znam drogę:
w nicości — stwarzam. Jednej tylko brama
Tajni zamknięta dla mnie...« — Mów! — »Ja sama«.

STARE KSIĘGI.

Deszcz jasne szyby moich okien plami
i świat stubarwny zasłania przedemną,
który tam życiem kipi. Rzeszę ciemną
zmarłych przyzwałem: rozmawiam z księgami.

I z każdej księgi wstaje duch zaklęty
z przed lat, z przed wieków lub tysiącoleci, —
zwolna przede mną przechodzi i świeci
i niknie zwolna, mrokiem pochłonięty.

A gdy go wstrzymam dłonią i rozkażę
mówić, to mówi, jako w Życia czarze
jest piana, pod nią męt, a treść jej tęga

jest na dnie samem. A gdy pytam jeszcze,
jak jej zaczerpnąć, słowa one wieszcze
słyszę: W głębiny sam Duch jeno sięga.

CIERPIENIE.

Widzę, że boleść jest żywota treścią,
a im Byt wyżej na śmiesznej drabinie
życia się wzniesie, bogaciej rozwinie,
tem sroższą trwanie jego jest boleścią.

Robak, co stopą przygnieciony ginie,
mniej cierpi, niźli zwierz, pierzem czy sierścią
odzian, a ten zaś mniej, niż człek, niewieścią
piersią wykarmion, pan żyjącej glinie! —

Cierpi chłop gruby i dzieciak nieletni,
lecz im się człowiek bardziej uduchowni
i w swych pragnieniach więcej uszlachetni,

tem los mu boleć każe niewymowniej...
— Jakichż więc cierpień nosisz w sobie morze,
Ty, coś z wszechistót snadź najwyższy, Boże?!

SĄ PRAWDY GORZKIE...

Są prawdy gorzkie — i ponoć goryczą
jest mądrość wszystka, którą się od wieka
syci łaknący światła duch człowieka,
łamiąc wszechbytu pieczęć tajemniczą.

Są prawdy gorzkie, których cień powleka
niebo i ziemię, a mędrcom, co liczą
wiek nie lat liczbą, lecz tych prawd zdobyczą,
wargi zawiera, gdy tłum słów ich czeka.

Są prawdy gorzkie... a dlaczegóż niema
prawd słodkich, jasnych, któreby jak dziecię
można do serca rękoma obiema

tulić i z śmiechem na ustach rozważać?
Czy nie dlatego, że szukamy w świecie
prawd, miast je w głębi swego ducha — stwarzać?

WIECZÓR.

Nadtoś się, Duszo, chyliła nad głębią
i nadto chciałaś poznać swą istotę!
— Oto jest wieczór, słońca blaski złote
gasną i w zmierzchu swą płomienność ziębią.

Cóż teraz poczniesz? Dziecięcą prostotę
i nieświadomość straciłaś gołębią;
oto cię teraz chłodne zmierzchy gnębią,
słońc niezniszczoną niosąc ci tęsknotę...

Ha! ty gwiazd czekasz? Słyszę, mówisz z cicha:
— Zagasła słońca jaskrawego pycha,
(nadtom się w ziemskim kajała popiele),

lecz oto większe słońca są nademną,
dalsze i czystsze; przez nieb łąkę ciemną
teraz się moja mleczna droga ściele... —

PALIMPSEST.

Zaiste! dziwnym Byt jest palimpsestem,
którego treść się w stu linij natłoku
zazdrośnie kryje czytelnika oku,
ciągle napisem kusząc: PRAWDA JESTEM!

Czasem się łudzi człek, że — blizki świtu —
zagadkę wreszcie ujmie i zwycięży
i wydrze z sieci poplątanych węży
tę świętą Prawdę odwieczną Wszechbytu —

i odczytywać już poczyna zgłoski;
lecz wnet spostrzega, że na pergaminie,
który przedziwnie palec spisał boski,

on własne pismo niedołężne kryśli,
aby je czytał, — i tak w plątaninie
nowej zaciera ślad przedwiecznej Myśli.

POSĄG W SAIS.

Mówi baśń stara, że niegdyś w Egipcie
stał posąg Prawdy w tajemniczej krypcie,
a kto zasłonę zeń ręką zbrodniczą
zdarł, trupem padał przed tą Tajemniczą.

Hej! nie zabija Prawda, lecz otwiera
przed tym, co w gmach jej przemocą się wdziera,
nieśmiertelności okropną krainę!
Kto wszedł w jej kościół, świętokradztwa winę,

która przekleństwo ściąga mu na głowę,
biorąc na siebie: boskości połowę
zdobywa jeno i jako miażdżący

ciężar ją nosi, próżno umrzeć chcący,
bo uniósł z onych poświęcanych progów
bóstw żywot wieczny, lecz bez szczęścia bogów!

MATEMATYKA.

I.

Zaiste! wielka jest LICZBY potęga:
ona wszechwładna — pani i królowa!
Ziemię zmierzyła, na niebiosa sięga,
a prawdę mówi, choć nie lubi słowa.

Dla niej wyrazem jest cyfra tajemna,
a lennikami jej — miara i waga, —
wszechświat królestwem! Ona sama ciemna,
głucha, surowa i ohydnie naga,

lecz ponad czołem świateł trzyma słońce,
zbrojną prawicą gmachy błędów wali, —
ogniwa prawdy kowając ze stali,

spaja łańcuchem przeciwległe końce
światów krążących w otchłani wszechbytu,
i wiedzie po nim wciąż wyżej — do szczytu!

II.

Zaiste! wielka jest LICZBY bezsilność!
Oblicze sfinksa przyjęła na siebie,
zasię na własną klnąc się nieomylność,
zważyła ziemię i gwiazdy na niebie

i świat zamknęła w tajemniczej cyfrze,
która — prócz siebie — niczego nie uczy!
Ślepa — nie widzi, że są barwy żywsze,
głucha — nie słyszy, jak puls życia huczy —,

więc przeczy prawdzie żywej i jakości,
ułudą zowiąc wszystko, co jest treścią
świata: rozkoszą jego i boleścią, —

a kłamiąc duchom, że im drogę prości,
co wiedzie z dolin poziomych do szczytu,
daje im tylko wszechwiedzę... niebytu! —

DWIE MOCE.

Dwie w głębi duszy mej bój wiodą władze,
dwa archanioły o zakrytej twarzy,
których imienia nie znam. Jeden marzy,
drugi na mądrej wszystko kładzie wadze.

Pierwszy chce lotów bezkresnych i wierzy,
iż nieskończoność wysnuć z siebie może,
stwarzając skrzydłom nieścigłym przestworze;
drugi — moc jego i toń niebios mierzy.

Więc zanim pierwszy rozwinie swe skrzydła,
nim w Ikarowe podróże wyruszy,
już go ten drugi chłodną dłonią sidła...

Tak bezustanku walczą w mojej duszy
dwa archanioły o zakrytej twarzy:
ten, który stwarza, oraz ten, co waży.

SŁOWA SĄ MĘDRCA...

»Żaden bóg z cierpień naszych się nie cieszy« —
(słowa są mędrca). Jeśli tak, zaiste!
pocóż nam ścieżki wybierać cierniste,
lub w pustelniczej kajać się pieleszy?

Zali nie lepiej pośród dziatek rzeszy
śmiać się, nad głową klony rozłożyste
mając, a łąki pod stopą kwieciste?
Wszak się najciężej smutkiem w życiu grzeszy...

Dobra wesołość jest i śmiech zbawienny!
Człowiek wesoły nie popełnia zbrodni,
noc jego cicha jest, dzień jego plenny...

— Mędrcze! weseli będziem i swobodni,
jeno nas wybaw od tej, co w nas głuszy
śmiech, od wieczyście zadumanej Duszy!

NA GIERLACHU.

Głazy mając pod stopą a nad głową chmurę,
po stopniach piramidy, która z bożej kielni
wzrosła, gdy jeszcze Jego snem byli śmiertelni,
bez odpocznienia szedłem na najwyższą górę.

Wyżej, wyżej! ponad to obłocze ponure,
co szczyt kryjąc przedemną, w krąg niego się wełni;
tam — stać będę nad światem, tam — w błękitu pełni,
tuż pod niebem, w słońc blizkich odziany purpurę!

Mgłę przebrnąłem... krok jeden! Szczyt! Ha! Ziemska gleba
nieco niżej i ludzie mniejsi, ale nieba
niedosięgłe wciąż wiszą tak samo wysoko —

i choć chmury-m zostawił w dole, nad mą głową
obłokami zasnute błękity na nowo;
przez nie na świat pogląda mętne słońca oko.

NIKŁE ŚWIATŁO.

Myślałem tedy, że w ręku latarnię
mam już, co wszystkie tajne mi rozświeci
manowce Bytu, któremi Duch leci —
a oto ciemność znów się ku mnie garnie...

Minionych ludów, zamierzchłych stuleci
pełne mądrości otwarłem śpiżarnie —
i światło moje tak zagasło marnie,
jako łuczywo w śnieżystej zamieci.

Bom znalazł nowe zagadki jedynie
i stare, straszne, dręczące pytania,
ponad któremi duch się ludzki słania

bez odpowiedzi —, a czas rzeką płynie
i tam w otchłaniach gdzieś przepada — cichy,
unosząc z sobą pianę ludzkiej pychy.

DLA MARJI KONOPNICKIEJ.

Czego z skarbów najwięcej zazdroszczę Ci może,
to nie natchnień — (me własne skrzydła mi wystarczą),
ani kunsztu słów dźwięcznych — (jako strzały warczą
me słowa, gdy na ducha cięciwie je złożę):

lecz tej wiary, co życiu Twojemu jest tarczą,
wiary w jasne królestwo na tej ziemi boże,
w które duchy tak lecą, jako ptaki w zorzę,
niewstrzymane, choć krwawe bóle je obarczą.

Gdybym bodaj dzień jeden mógł tak święcie wierzyć,
gdybym mógł choć godzinę z taką wiarą przeżyć,
wiem, że byłaby płodna ta godzina święta

i tak szczęściem nalana, jako winem czara...
Tego-ć skarbu zazdroszczę, bo ducha mi pęta
od Twych zwątpień najgorszych gorsza, smutna wiara.

TEATR BOGÓW.

Syty ludzkich spraw marnych, które zatrze
bez śladu Jutro, puhary i urny
tłukąc zarówno, — rad myślami w górny
świat nadobłoczny ulatam i patrzę,

jak w brukowanym gwiazdami teatrze
niebios aktory, zgrzybiałe Saturny,
na słońc złociste wstępują koturny
i przedstawienia dają co najrzadsze.

Grają tragedje, gdzie Los patrzy z loży,
jak nieśmiertelni konają aktorzy
z klątwą lub śmiechem, i grają opery,

gdzie są orkiestrą harmonijne sfery,
Czas reżyserem... A wszystko się splata
w jednę, wieczystą komedję wszechświata.

AVE HOMO!

Bądź pozdrowiony, wielki świata panie,
sobie, nie światu, żyjący na świecie!
Czystość twa wstydzi śnieżne lilij kwiecie,
złość twa przeraża piekielne otchłanie;

pełny świat ciebie, pełne ciebie nieba:
objąłeś myślą przestwory bez końca
i cień swój rzucasz na gwiazdy i słońca —
a choć twe życie od kruszyny chleba

zawisło nieraz: życiem twojem pała
wszystko, co żyje, bo ty władnym giestem
z nicości światy dźwigasz, mówiąc: Jestem!

Więc nim przeminiesz, tobie cześć i chwała
w cnotach i w zbrodni, w każdym miejscu, wieku,
znikomy pyle, królu gwiazd, człowieku!

MYŚL TWÓRCZA.

Błogosławiona bądź mi, myśli twórcza,
jedyna smutnych moich dni pociecho!
Gdy ból zamieszka pod mą nędzną strzechą
i chleb je ze mną zgryzota jaszczurcza,

gdy dłoń mą pęta niemoc światoburcza
a sen mych nocy złe przeszłości echo
płoszy wyrzutem, gdy wężową wiechą
smagane serce w łonie mi się skurcza:

twoje potężne unoszą mnie skrzydła
tam, gdzie ból każdy w perłę się skrysztala, —
a duch mój, próżen ziemskiego wędzidła,

jak rumak gwiazdy kopytem rozpala
i w skier tumanie w nieskończoność leci
przez łąki, które sam stwarza i kwieci!

DONKISZOCI.

Zapóźnione i śmieszne ducha Donkiszoty! —
Jak rycerze krzyżowi w kraj ciągniemy wschodni,
prawe sługi świętości a mściciele zbrodni:
płaszcz nasz biały, miecz ostry, a spis naszych groty

w rannem słońcu się palą blaskami pochodni, —
czoło dumne, a w orlich skrzydłach hełm nasz złoty,
ramię silne, a serce męskiej pełne cnoty:
wrogów tylko nie mamy, co są walki godni!

Saraceńskich nam szabel błyskawica w oczy
nie zaświeci, ni błędny rycerz wezwie w szranki
za słuszność, imię Marji, albo cześć kochanki, —

jeno zgraja owczarzy drogę gdzieś zaskoczy
i do boju przymusi, co — choć nie mniej krwawy —
bohaterom ginącym rzuca śmiech, miast sławy.

ZWYCIĘZCA.

Nie mów o sobie, iżeś już zwyciężył,
póki prócz słów twych chełpliwego dźwięku
niema świadectwa, iżeś świat miał w ręku
i moc duchową przeciw niemu tężył.

Niechaj zwycięzcy siłę niezmożoną
chwalą wzniesione góry lub zwaliska;
pókić twa sława w uściech jeno błyska,
tyś się w snach dziecka z światem mierzył pono!

Mocą nad moce jest zwyciężać cicho
i bez burz ryku bory kłaść pokotem,
a najwspanialszą dusz potężnych pychą

jest nie być gromu swego pustym grzmotem,
lecz czekać, iżby rozkruszone skały
padając, echo piorunowi dały.

SZALEŃSTWO.

Jeśli szaleńcem chcesz być, to zaiste
dobrze wybrałeś, bo obłędem bożym
z iskierki ducha nowe światy tworzym,
sny przetapiając na słońca ogniste!

Lecz nie staj wtedy na ulic rozdrożu
i na przechodniów nie krzycz: Ja szaleję!
i wielkie plony zebrać mam nadzieję,
bom siew powierzył wzburzonemu morzu! —

Czekaj, aż morze da ci plon obfity,
aż z kłosów twoich gwiazd wyłuskasz ziarno
i aż się na nie tak ptacy przygarną,

jako na złotem ciężkie prosa kity, —
ale się nie daj kazić na ulicy
świętej szaleństwa swego tajemnicy!

PODRÓŻNIK OPOWIADA:

Jest głód szczytów niesyty, który oszalenia
żądzą wiecznych wstępowań. Na góry ogromne
wychodziłem, a jednak, zaprawdę! nie pomnę,
abym kiedy, wyszedłszy, doznał ukojenia.

Takie szczyty widziałem, które się na stropie
niebios zdały opierać i na jasnem słońcu,
lecz gdym po nich szedł w niebo, zawsze brakło
w końcu
nie sił ani ochoty, ale — głazu stopie.

Tatrzańskiemi turniami wzniesiony w lazury,
śnię więc białe iglice Alp, — w alpejskich szczytach,
mając w równi jedynie orły na błękitach,

klnę swą wolę, niestety! wyższą niźli góry,
wyższą może, niż siły, których — dotąd — staje,
i marzę — niedostępne dla mnie Himalaje!

CZERWONE WINO.

1903.

I.

Hej! to czerwone, to wieśniacze wino,
któreśmy pili przed progiem gospody
w alpejskich górach!... Jakże byłem młody
i jak pragnący twoich ust, dziewczyno!

Minęły lata i znów lata miną:
różne się wina pieniły i miody
w ręku mych, ale takie boskie gody
raz tylko miałem... Hej! hej! łzy mi płyną!...

(Dawniej się śmiałem; nie dziw się, że płaczę...)
Czy ty pamiętasz tę chwilę szaloną
winem, młodością, krwią? — Wzbiera mi łono

i drżą znów usta... Hej! wino wieśniacze!
biała gospodo na alpejskim grzbiecie!
lata wy młode! rozpierzchłe po świecie!...

II.

Czemżeś ty była dla mnie? snem czy jawą?
i czym cię kochał?... Daremnie w tej chwili
myśl wspomnień pyta, daremnie się sili
odewrzeć grób ten — już zarosły trawą...

Byłaś zadumą mojej duszy łzawą,
byłaś tym głosem, który w piersiach kwili
w noce majowe, gdy białych motyli
rojem okwitnie jaśmin, — smugą krwawą

błysków na życia mego byłaś niebie,
perłową srebra miesięcznego szarfą
i pieśni dziwnych rozśpiewaną harfą, —

a choć woń kwiatów mniej lotna od ciebie,
jak burza przeszłaś po morzu mej duszy, —
słyszysz? — drży jeszcze, choć czas wszystko głuszy...

III.

Widzę twe oczy czarne i ogromne,
a jak błękitu otchłań, tak bezdenne,
a jak księżyce dwa, takie promienne,
a takie smutne, jak ptaki bezdomne...

Widzę twe oczy... jak gołębie skromne,
a rozmarzone, jak łabędzie senne,
a jak płomienie, tak czasem płomienne,
jak grom miażdżące... Wiem, że nie zapomnę,

Choćbym chciał nawet... Jeszcze mi się marzy
lico twe jasne, włos twój płowy, długi,
który ci światła stopionego strugi

rozlewał cichą kaskadą po twarzy —,
jeszcze twych piersi kwiat dziewiczy, biały, —
jeszcze twe usta..., cisza twa i szały...

IV.

Raz tylko jeden — tak jak w bajce bywa —,
raz tylko jeden... O! na to wspomnienie
czuję rozkoszne, dawne! dawne drżenie
i krew mi wszystka znów do serca spływa.

Promiennych włosów twych słoneczna grzywa
w tył odrzucona — i przez oka mgnienie
na ustach moich twoich ust płomienie...
Dzisiaj... hej! gdzie ty? umarła czy żywa?

A jak to było? — zaczekaj — przypomnę...
potem już nigdy... Jeden sen, szalony, —
rozkołysane, w krwi bijące dzwony

i upojenie straszne, nieprzytomne...
Wiem, żem rozbudził jakąś twoją duszę,
co była cicha... Za to cierpieć muszę...

V.

Słońce zachodzi... Na deszczowej chmurze
jak łza ognista przez nieba szczeliny
błysło — i mglisty alpejski grzbiet siny
na chwilę w złoto ubrał się i w róże...

I tak w królewskiej wspaniałej purpurze
słońce spływało w szarych chmur głębiny, —
szczyty Alp bladły, cień wionął w kotliny:
słońce szło na dół — a chmury ku górze...

A na perłowem tle chmur i na łunie
krwawej pod niemi — ty, z schyloną głową,
z włosów na czarnej sukni grzywą płową

i ogniem w oczach dumnych —. Niech świat runie,
byle cię jedną chwilą mieć — kochankę!
Toast! — gdzie wino? — podajcie mi szklankę!

VI.

Niech żyje wszystko, co trwa jeno chwilę
i nim przesycić ma się czas — przepada! —
Nim się nam Jutra twarz pokaże blada,
ten toast Życiu, Piękności i Sile!

Zdrowie tych godzin, co jako motyle
błysną na słońcu, jak błędna plejada
gwiazd spadających śmigną, jakby stada
źrebców przelecą, zostawiając w tyle

wichr i kurzawę! Zdrowie błyskawicy
i gromu zdrowie i krwi, co wytryska,
życia i śmierci, słońc i nawałnicy —

i twoje zdrowie, ty lilijo polna! —
— Toast spełniony, szkło o głazy pryska:
dziś ja twym panem! — jutro będziesz wolna!

VII.

Czujesz? — szalone w krwi mej biją młoty
i mam na ustach pożar! Daj! tak białe
piersi twe... Podaj! Usta oszalałe
chcą cię i giną od krwawej tęsknoty!

Podaj mi wargi! Słonecznej ochoty
napój z nich chłonę boski! Swoją chwałę
spełniam puharem ust twych! Życie całe
piję w tej chwili, jak wina sok złoty!

Dziś wszystkie słońca swoje jasne dasz mi! —
a cóż że jutro bunt się w tobie wzmoże
i — mściwa — stargasz tę złotą obrożę,

którą cię dzisiaj moja boskość jarzmi?
Dziś musisz nosić mego szału pęta,
ty dziewko dumna, dziewko nieugięta!

VIII.

Hej! to płomienne, to wino czerwone,
któreśmy pili przed gospody progiem
w Alpejskich górach, kiedym ja był bogiem,
i z swej młodości hucznej miał koronę!...

Wszystko tak dawne już i tak minione...
Znów nad wądolnym tam słońce rozłogiem
krwawe zachodzi, kaliną i głogiem
obrosłe ścieżki pachną rozkwiecone,

i śnieżne góry palą się na niebie,
wszystko, jak niegdyś, — jest upojne wino,
czerwone wino — i tylko, dziewczyno,

młodości mojej już niema i ciebie!
— Czym ja cię kochał? Dziś już nie przypomnę —,
ale mam w oczach gorzkie łzy, ogromne...

SONET ZA RÓŻE.

1906.

Dla pani Wandy Troetzerowej.

Dar był królewski! Ruchem takim hojnym,
łaskawym ruchem kwiaty mi rzucono:
róż obłąkanych całą więź — czerwoną,
krwawy snop, mrący w zapachu upojnym.

Niech więdną krwawe róże! Ja wazonem
ich nie obdarzę ani będę wodą
śmierć ich odwlekał płomienną i młodą! —
niech mrą i wonią duszą się przed zgonem...

Jak szał, jak miłość... Kwieciem stół zastawny,
uczta! — Dziękuję, że mi mrą tu kwiaty,
Pani! za śmierć ich dzięki! Dar bogaty!

Lica-m wśród kwiatów skrył... pijany... Dawny
sen? przypomnienie? bajka czy ułuda?
— prawią mi mrące kwiaty cuda... cuda...

POKŁOSIE.

1892—1899.

DEDYKACJA.

1.

Patrz! oto pieśni! Złe i dobre razem...
Tak czasem miota ręka rozrzutnika
koral i perły drogie do śmietnika,
gdzie czas zasiewa chwast z różowym ślazem.

Po latach wielu widać tylko kwiaty
na miejscu, kędy przybutwiało śmiecie —
a pod ich liściem, morskich głębin dziecię,
perła lśni biała i koral bogaty...

Tych rdza nie zgryzie, nie zniszczy zgnilizna!
a poznać wtedy łatwo, że prawdziwe,
gdy, chociaż próchno tlało, one żywe!

Różny Ci niesie dar ma dusza żyzna:
próchno i perły — zmieszane oboje — — —
Śmiecia wiatr naniósł, — lecz perły są Twoje!

II.

Ty wiesz, żem ja nie chadzał drogą ludzi zwykłą,
ale wiecznie błądzący i dziki wędrowiec
z szczytu skał w przepaść, z łąki znów w leśny ma-
nowiec
szedłem, — wiecznie ścigając snów swych marę nikłą.

Na utartych jam ścieżkach nie zbierał tych liści,
które z cierniem zmieszane w wieńcu dziś Ci niosę;
jam tam bywał, gdzie lilje krwawą piją rosę
i gdzie piorun odwieczne dęby z próchna czyści.

A żem stamtąd nie wrócił witeziem mocarnym,
żem nie przyniósł trofejów walki ze smokami
ani ognia świętego — i jeno z tym marnym

snopem przed Tobą staję: to już moja wina
i tej słabości, którą duch się tęgi plami,
jak rdzą pożerającą stal zbroicy sina...

BŁOGOSŁAWIEŃSTWO.

Bądź pozdrowiona, chwilo snów wieczorna,
słodka, rozkoszna, święta marzeń chwilo!
Skrzydła mej duszy ku tobie się chylą
i myśl u stóp twych kładzie się pokorna!

Jako wystałych win kropla wyborna,
upajasz serce — i dłonią motylą
osłaniasz oczy, jak dzieci, co kwilą,
otula matka tkliwa i przezorna.

Ty wiesz, o wonna świętych ogni urno!
że blask mnie razi, aż myśl ma zmęczona
drogą przez stepy i przez szczyty górną,

więc mi spoczynek u cichego łona
dajesz, nim w przyszłość znów się rzucę chmurną...
Dzięki ci za to! bądź błogosławiona!

PUSZCZA.

Kiedy puszcze się nocą zimową zamroczą,
tajemnicze je bóstwa w świątynie zmieniają:
jodły kolumn gotyckich rzędem wystrzelają —
a konary się górą w sklepienie jednoczą.

I posadzka od miękkich śniegów bywa biała,
i zielone wieżyce, i łuki strzeliste, —
a gdzie rzadsze, tam niebo przegląda gwiaździste,
księżyc na dół spoziera i jak lampa pała.

Jałowce się ubraniem przystrajają mniszem;
wicher-muzyk po wierzchu puszczy się przechadza,
hymn wygrywa — a każde drzewo jest klawiszem...

I olbrzymia pieśń chwały białą puszczą płynie,
sławiąc Stwórcę, którego wszechpotężna władza
pośród lasów na skałach stawiła świątynie...

ŚNIEŻNE POLA.

Ha! jakże pysznią lśnią się pola białe śniegiem!
Księżycowy z nich promień setne krzesze czary:
ówdzie srebrzy, wygładza, jasne tka symary
błękitnych cieniów wstęgą obszywane brzegiem,

tam znów plamy rozrzuca, złamanym szeregiem
lśniące, jak słońca spadłe przez drzew czarnych szpary,—
głazy zmienia w dantejskie tajemnicze mary,
bladem czołem sterczące nad ciemności zlegiem.

Lodu szyba zwierciadłem księżyc w siebie chłonie,
od nadbrzeżnych się jodeł srebrniejsza odrzyna,
ku śnieżystym zaś polom miękko chyli skronie...

Tak wygląda w zamęście idąca dziewczyna:
kochankowi smagłemu daje z lilij dłonie,
łzawem licem pogląda, gdzie chatka matczyna...

NA PÓŁNOC...

Kiedy słońce zachodząc Alp okrwawi śniegi,
że rubinem rozbłysną w błękitów topieli, —
na jeziorze szarawy cień się zwolna ścieli
i zielone przed chwilą poczernieją brzegi;

kiedy księżyc usrebrzy góry, krze i wodę,
po winnicach się ozwie cudny śpiew słowika,
zapach bzów i jabłoni powietrze przenika,
świat czarowny rozmarza każde serce młode:

wtedy wsparty na dłoni puszczam myślom wodze;
one płyną na północ wspomnieniami żywe,
zawsze z jedną tęsknotą, po tejsamej drodze,

w kraj rodzinny i góry i jodłowe lasy,
w miejsca, kędym przemarzył dzieckiem dnie szczęśliwe,
a z myślami łza płynie na minione czasy...

DWOREK.

W pięknej dolinie górskim przerzniętej ruczajem
otoczone lipami świecą dworku ściany,
patrząc oknem na góry, na lasy, na łany...
Ach! stamtąd świat mi niegdyś wydawał się rajem!

Ach! tam wszystkich kochałem, kochany nawzajem;
tam mnie matka uczyła czcić Pana nad pany,
ojciec miłość ojczyzny w umysł kładł wiośniany —
a jam modlił się Bogu i płakał nad krajem.

Kiedym szczęsny dziecinną do snu składał głowę,
nad kołyską pacierze szemrała mi rzeka,
dumy lasy mi szumem śpiewały jodłowe.

Wierzyłem, że mnie chowa górskich bóstw opieka
i że życie mi będzie wiecznie tak tęczowe;
a dziś... dworek się chyli i szczęście ucieka...

DO ŚWIERKA.

Świerku! stary, zielony mój świerku poczciwy,
co w ojcowskim ogrodzie nad lipy i klony
wystrzeliłeś, z wspaniałej pyszniąc się korony,
zali ja cię obaczę jeszcze kiedy żywy?

Ileż razy dziecięciem igrałem szczęśliwy
w twoim cieniu, muskając twój warkocz zielony,
lub jak ptaszę u szczytu twego uczepiony
na me góry patrzyłem, na łąki i niwy.

Kiedy postrach przed karą za zbytki się zdarzył,
ty mi byłeś ucieczką! Na twoich konarach
pierwsze-m żale wypłakał, pierwsze sny przemarzył.

Może wkrótce bezbożna powali cię ręka:
wolne życie zakończysz w popiele i żarach, —
świerku! mnie los taksamo powalił i nęka...

KĘDY-Ś KRAJU?

Kędy-ś kraju rodzinny? Tułacz i sierota
różne ziemie objeżdżam i miasta i wioski,
ale nigdzie nie mogę pozbyć z serca troski:
wszędy idzie w ślad za mną jak widmo — tęsknota!

Piękne miasta widziałem pełne sztuk i złota,
Alp widziałem lodowce i firmament włoski,
morza brzeg i w mirtowych gajach białe kjoski,
kędy mieszka wesele, rozkosz i pustota;

w drodze nieraz z namiętnych ssałem ust przynętę,
zapomnienia szukałem w towarzyszów gwarze,
kończąc śmiechem udanym pieśni w łzach poczęte,—

ale sercu nie ulżyć. Dzisiaj tylko marzę,
by powrócić na łany mojej ziemi święte —
i tam żyć i umierać, gdzie ojców ołtarze!

W SZAŁASIE.

Pędzi wicher nad groźne, nad skaliste Tatry,
ciężkie chmury i czarne gna po nocnem niebie —,
pada z świstem przez szpary i hula w kolebie,
rozrzucając dokoła złote iskry z watry...

A przy watrze na ziemi siedzi juhas stary, —
szklistem okiem w płonące zapatrzył się głownie,
wzdycha często, głęboko, smutno niewymownie:
przed oczyma snadź dawne snują mu się mary.

Na twarz orlą, twarz sępią, zmarszczoną i dziką
blaski ognia się kładą przelotne i krwawe,
— a on szepce żałosną jakąś słów muzyką:

»Przedam halę, hej! przedam, — pójdę ku dolinie, —
wilków niema już w Tatrach, zbójniki w Orawę
już nie chodzą i juhas wnet ostatni zginie...«

BERN W NOCY.

Miasto śpi już. Przechodnia spóźnionego kroki
budzą głusze drzemiące pod arkad sklepieniem:
zagrzmi echo i leci i kona westchnieniem
nad Aarą rozbite o czarne opoki...

Księżyc w wązką ulicę otuloną cieniem
wpadł i zajrzał pod arkad łuki. Tum wysoki
zadrżał w świetle i żyje, — a nad nim obłoki
płyną, jakby aniołów rzesza. Nad strumieniem

most się wygiął w powietrzu sztab żelaznych żebrem;
w dole woda tajniki podsłuchane gada,
które siostrom zwierzała Alp Dziewica blada...

Księżyc miasto zalewa promienistem srebrem —
cisza, — tylko uliczne źródła i fontanny
pluszczą, szemrzą i skrzą się, jęk wydając szklanny.

Z ALP.

Noc i pustka... Wiatr pędzi pokłębione chmury,
czarne, zbite i gęste, przez niebios otchłanie;
puszcze gną się i jęczą, w wichru huraganie
nad skałami przelata nocy hymn ponury.

Kiedy wicher na chwilę w puszcze dąć przestanie,
wodospadów w wąwozach wzmagają się chóry,
a grzmot lawin im wtórzy lecących gdzieś z góry —
i znów wichru potężne wszystko głuszy granie...

Noc i pustka — i tylko wicher ciągle jęczy...
Czasem przez chmur rozdartych szpary księżyc pada
i wnet wiąże Alp szczyty łukiem bladej tęczy,

po lodowcach do wnętrza parowów się skrada,
kędy potok o głazy czarne srebrem dźwięczy
i bór z borem w przestrachu dziwne wieści gada...

NAJADY.

Srebrną strugą wodospad z gór wyniosłych zlata —
a tam pod nim czarnemi skrzydłami łopocze
młyńskie koło, jak szatan skryty w tęcz obłocze,
i w kaskady włos palce swe brutalne wplata.

A gdy nocą miesięczna rozlśni się poświata,
pełne najad się stają kaskady warkocze;
cienie wiotkie, do lilij podobne, przeźrocze
wykwitają z fal, — w koło szumi puszcz kantata.

Zapomniane, nieczczone — w dawnych gwiazd koronie
błyszczą chwilę w księżycu i po strunach wody
z cichym jękiem spływają na zczerniałe kłody,

rozbijając o deski kół perłowe skronie
i dziewiczą pierś... Księżyc płynie w górę blady,
a łez deszczem wciąż lecą i lecą najady...

Te trzy sonety —

ATHENE GLAUKOPIS.

»Wiatru cichemu podobna z pociechą
w zorzy ku niemu zeszła Glaukopis...«
Tak śpiewał grecki ów ślepy wierszopis,
siedząc nad morzem. — W świat się niosło echo.

Jam także przebył życia Odysseję!
Długo mię Cyrce — rozbitka — więziła,
w ludożerczego norze dziewięsiła
drżałem bezbronny i kromia nadzieje,

a z wielkim trudem Charybdy i Scyle
śród mórz nieznanych przebywszy, do domu
wróciłem obcy, w łachmanach i pyle.

Wtedyś Ty ku mnie zstąpiła z wysoka,
by z ostatniego wyrwać mię pogromu,
o słodka, cicha dziewo sowiooka!...

A LA BOTTICELLI.

Lubię patrzyć, jak złoty blask świec, lub księżyca
srebrna poświata z tyłu padając ukośnie,
tka przedziwne desenie na twych włosów krośnie
i perłowe refleksy rzuca na twe lica.

Myślę wtedy, że jakaś — z tych świętych — dziewica,
co dla Chrystusa niegdyś płonęły miłośnie
i z kochania pogasły w pierwszej życia wiośnie,
objawiona zdumiałe oczy me zachwyca.

A gdy zwolna pochylasz nad mą senną głową
skroń swą w kruczych kos wieńcu białą tak widmowo,
rozświetloną ogromnych oczu twych spojrzeniem:

drżę, by lekkiem zjawiska ust nie spłoszyć tchnieniem.
— Tak wyglądać musieli ci biali Anieli,
których w snach czarodziejskich widział Botticelli...

CZARNE OCZY.

W czarnych twych oczu przeczystem spojrzeniu
kąpię swą duszę dziką i zmęczoną —
i taka błoga cisza tchnie w me łono,
jakbym w letejskim skąpał się strumieniu.

Gdzieś tam na świecie w gromach ryczą burze
i krew szlachetnych serc użyźnia niwy...
Rży wiatroskrzydły koń mój niecierpliwy:
koniu! leć z Bogiem! — senne oczy mrużę...

Pójcie mnie, święte zapomnień krynice!
Świećcie mi, jasne dziecięce źrenice!
Blask wasz w mej duszy nowe siły nieci,

i gdy znów rumak mój z wichrem nadleci,
pójdę w bój życia, jak szaleniec — mężny,
jak lew — rozżarty i jak grom — potężny!

— *Helenie Sienkiewicz-Żuławskiej.*

F. OSTINI.

JEGO KSIĄŻKA.

Szczególna to książka, po której pieszczone
paluszki jej białe suną się powoli!
Tak często z tych kartek bucha śmiech swawoli,
a jednak — tam na dnie — słychać łzy tłumione...

»To wiersze są tylko! Ja sama mu wzorem
do piosnki niejednej tu jestem... Ach, Boże!
dziecinnej miłości zapomnieć nie może,
lecz znosi, jak widzę, swój zawód z humorem.

»A portret na przedzie... Wysokie te skronie
tak smętne — i w zmarszczkach; twarz szczupła
i blada,
a w ciemnej źrenicy blask szczęścia nie płonie...

»O duszo ty ludzka! zagadko ty stara!
On teraz przed światem swe serce rozkłada:
w oprawie — brzeg złoty — kosztuje talara! —«

MUZYKA.

Bracie! nie graj mi walców! Dźwięk się każdy śmieje
obłąkany, okropny, aż mi straszno w duszy,
bo w nim łza jest ukryta, co wesele głuszy, —
straszniejsza, że żrąc serce okiem się nie leje.

Wszak z tych pieśni piekielna rozpacz jakaś wieje;
to śmiech człeka zgiętego pod setką katuszy,
który, gdy mu zwątpienie źrenice wysuszy,
bladą wargą przed światem z rozpaczy się śmieje.

Ty mi raczej pogrzebne marsze graj Szopena,
wielkie, tęskne i święte pieśni Bethowena,
nutę Bacha potężnem echem wciąż rosnącą;

te dźwięki duszą płacić — nie zbyt droga cena!
One, jak wicher, niosą ducha w te zaświaty,
gdzie nad bólem, nad szczęściem — gwiazdy mżą, jak kwiaty...

JAK DANT...

Jak Dant przeszedłem kraj on tajemniczy,
który przed śmiercią widzą wieszcze jedno
a powróciwszy na świat śnią i bledną,
żarci wspomnieniem, co im w sercu krzyczy.

I tak — zaznałem niebiańskiej słodyczy;
przez czyściec wicher gnał mą duszę biedną —
i szła przez czarne piekielne bezedno,
lecz wiecznie sama i bez Beatryczy.

Zaczętą w niebie swoją drogę błędną,
dziką, samotną, skończyłem w otchłani,
gdzie — jak w jesieni kwiat — nadzieje więdną.

Zmęczony, smutny, z skrzydły złamanemi,
tęsknię już tylko do ziemskiej przystani,
bom widział wszystko, — ach! wszystko — krom
ziemi!

RZEŹBIARZ SONETÓW.

Na dzikich stepach życia zarzucał arkany
i błyskawiconogie kiełzał dłonią źrebce,
szedł na szczyty — i kędy grom drzemie w kolebce
chmur i lodów, on stawał, jak dumne tytany.

Przez spienione i burzą groźne oceany
pływał i śmiał się, patrząc, jak je wicher depce,
słuchał w puszczach dziewiczych, co wiatr drzewom
szepce,
i śród ruin odwiecznych marzył zadumany...

Potem wracał do ludzi i echowe szumy
biorąc z duszy, jak barwy z bogatej palety,
składał pieśni, maleńkie, pełne łez lub dumy,

krzyków albo tęsknoty, strojne jak kobiety.
A te piosnki czytały potem ludu tłumy,
mówiąc: »Ach! jak to dobrze, że rzeźbi sonety!...«

GORĄCZKA.

Żółta szata ją kryje; wargi ma spieczone,
krwawy wypiek na licach i oddech zatruty;
w oku obłęd się pali, pot ją zrasza suty,
mak i zwiędły heljotrop tworzą jej koronę.

Kurczowo prężąc palce przybliża się do mnie:
woń jej wieńca mnie dusi, jej oddech mię piecze,
wzrok jej myśli me miesza i zmieszane wlecze
w otchłań jakąś gorącą a mglistą ogromnie...

Już mnie chwyta w ramiona i dziko, namiętnie
ssać poczyna krew z żył mych, — dech mi w piersiach tłumi;
ciężar jej mię przygniata; czuję w każdem tętnie

jej truciznę; bezsilny obłęd mnie napada;
ogień żre me wnętrzności; w ustach dzwoni, szumi,
w oczach ćmi się — a ona z czaszki mózg wyjada!

JUTRO.

Myśleć o jutrze i zbierać na jutro?!
Precz mi! Ja dzisiaj żyję, a co potem
będzie, ja nie wiem ni chcę wiedzieć o tem!
Może się zwali niebo, może utrą

kamienie losu na proch moje ciało — —
to wszystko jedno! Na cóż więc zapasy?
Umrę — a po mnie nowi ludzie, nowe czasy...
byłem — nie będę, — ha! i cóż się stało?

Słońce nie po to zachodzi wieczorem
i błękit świetnym maluje kolorem,
by powstać zrana! Powstaje? — przypadkiem!

Dla mnie przypadkiem, bo o prawa wieczne
nie dbam! Niech jutro pękną drogi mleczne,
bylem dziś tylko gwiazd miał poddostatkiem!

POLSKA MOWA.

Rozrzutną dłonią z przepychem naboba
siejąca skarby, — dziecię marnotrawne,
świetne, jak one króle Romy dawne:
jak paw, co w tęczach się własnych podoba,

ogon stubarwny i swe skrzydła oba
rozwijasz, lustro czyniąc słońcu jawne,
by blaski z niego szły na ciebie sławne
i jasność większa, kraśniejsza ozdoba, —

i tak królujesz śród bogactw bez miary,
w gwiazdy ubrana i w lutniane czary —
a świat ci zda się jeno złotą gadką

i dźwięków morzem: o ty polska mowo!
ty sługo moja i moja królowo,
moja kochanko i siostro i matko!

WŁASNĄ MAM HARFĘ.

Własną mam harfę i nie pożyczaną! —
a struny na niej są z hartownej stali,
dźwięczne jak zbroja. — Jeżeli się żali,
to jak miecz: że mu z pochwy wyjść nie dano.

W cudzych ogrodach swego życia rano
spędziłem, wtórząc pieśniom, co z oddali
ku mnie spływały na powietrznej fali, —
dziś mam nad głową puszczę rozegraną...

I stare jodły i odwieczne dęby,
na których czasu skruszyły się zęby
uczą mnie dziwnych, tajemnych powieści,

które ma harfa ludziom potem wieści...
I chociaż fala wieków głośno szumi,
wiem, że mej harfy dźwięku już nie stłumi.

TREŚĆ.

Str.

SONETÓW MŁODYCH CZĘŚĆ PIERWSZA.

Lećcie pieśni 3
W świat marzeń! 4
Powódź wiosenna 5
Przed burzą 6
Czego chcę... 7
Nie mnie kochaj... 8
Natchnienie 9
Myśl 10
Na szczycie 12
Poeta 13
Nurek 14
Nie pytaj... 15
Nie schylaj głowy!... 16
W co wierzyć? 17
Przekleństwo 19
Iść muszę... 20
Starzec 21
Moje życie 22
Chciałbym... 23
Naprzód! 24

SONETÓW MŁODYCH CZĘŚĆ DRUGA.

Nie warto... 27
Czemu kocham... 28
W łodzi 29
Śnieg na ziemi... 30

Str.

Pożegnanie 31
Z dala... 32
Cicha godzina 33
Pamiętasz...? 34
Ty mnie winisz... 36
Posąg 37
Dąb 38
Róża 39

SONETÓW MŁODYCH CZĘŚĆ TRZECIA.

Ostatnia gwiazda 43
Przed ołtarzem 44
W katedrze 45
Pytam ciągle... 46
Ja nie umiem... 47
Zmrok jesienny 48
Taniec 49
Noc 50
Wyznanie 51
Stokroć lepiej... 52
Za słońcem 53
Wasza wina 54
»Sprawiedliwym« 55
Clamavi... 56

SONETÓW MŁODYCH CZĘŚĆ CZWARTA.

Pragnę! 61
W lesie 62
Circulus vitae 63
Sonet trójzgłoskowy 64
Śpisz już 65
Na odchodnem 66
Nie wierz! 67
Rozkosz 68
Kwiatek 69
»Ophelia! Go to a nunnery!« 70
Dwa sonety 71

Str.

WIDMO.
I—III 75—77
W BLASKU KSIĘŻYCA.
I—VII 81—87
PRZY ROZSTANIU.
I—IV 91—94
NA NOWĄ DROGĘ.
I—VI 97—102
GALATEA.
I—IV 105—108
POKUSA.
I—III 111—113
JUNGFRAU.
I—V 117—121
BALTHAZAR.
I—IV 125—128
LUCYFER.
I—XXI 131—151
DIES IRAE.
I—IX 155—163
Z TALMUDU.
Ognista rzeka 167
Źli i dobrzy 168
Pinchos ben Jahir 169
Rabi Eleazar 170
Rabi Zamiël 171
Rabi ben Lapidoth 172
WARSZAWA.
I—IX 175—183
WIDZENIA.
Michelangelo 187
Król Salomon 189
Spinoza 190
Hussarze 191
Kunaksa 192

Str.

Racławice 193
Fryderyk Wilhelm IV 195
Fryderyk Chopin 197
Nero 198
Smętek 199
Kleopatra 200
Florentczyk 201

OKRĘT BEZSTERNY.

I—IV 205—208

DOLCE STIL NUOVO.

Sonet wstępny 211
Cieniom Adama Asnyka 212
Myśl jest wszystkiem... 213
Rozmowa z duszą 215
Stare księgi 216
Cierpienie 217
Są prawdy gorzkie... 218
Wieczór 219
Palimpsest 220
Posąg w Sais 221
Matematyka 222
Dwie moce 224
Słowa są mędrca... 225
Na Gierlachu 226
Nikłe światło 227
Dla Marji Konopnickiej 228
Teatr bogów 229
Ave homo! 230
Myśl twórcza 231
Donkiszoci 232
Zwycięzca 233
Szaleństwo 234
Podróżnik opowiada 235

CZERWONE WINO

I—VIII 239—246

Str.

SONET ZA RÓŻE 247

POKŁOSIE

Dedykacja 253
Błogosławieństwo 255
Puszcza 256
Śnieżne pola 257
Na północ... 258
Dworek 259
Do świerka 260
Kędy-ś kraju? 261
W szałasie 262
Bern w nocy 263
Z Alp 264
Najady 265
Athene Glaukopis 266
A la Botticelli 267
Czarne oczy 268
Jego książka 269
Muzyka 270
Jak Dant... 271
Rzeźbiarz sonetów 272
Gorączka 273
Jutro 274
Polska mowa 275
Własną mam harfę 276

JERZEGO ŻUŁAWSKIEGO

POEZJE

Poezje, ser. I., wyd. II. 1901
Poezje, ser. II. 1900
Z domu niewoli 1902
Pokłosie 1904
Xięgi żydowskie 1905
Poezje w nowym układzie,
wyd. zbior. w 4 tomach 1908

PROZA

Opowiadania prozą 1902
Na srebrnym globie 1903
Prolegomena 1902
Benedykt Spinoza 1902

DRAMAT

Dyktator, wyd. II. 1907
Eros i Psyche, wyd. III 1906
Wianek mirtowy, 1905
Ijola, wyd. II 1906
Gra, 1905
Donna Aluica (La bestia), 1906

PG
7158
Z8A17
1908
t.1

Żuławski, Jerzy
Poezje

PLEASE DO NOT REMOVE
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET
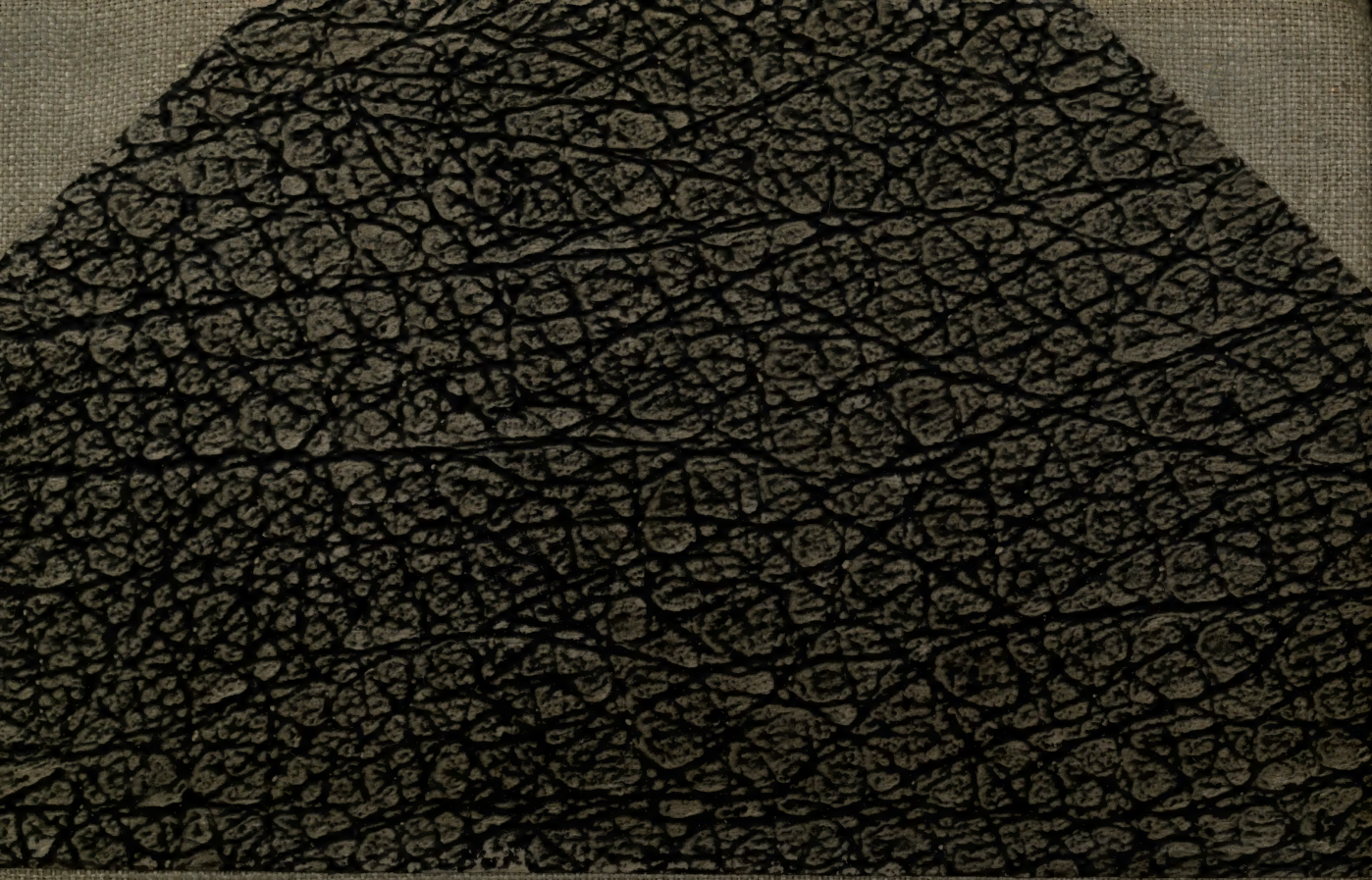
UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY